

Prenumerata wynosi: Kwartalnie 4 kor. — 4·25 Mrk. — 1 Rbs. 80 kop. z przesyłką pocztową 2 Rbs. 60 kop. Półrocznie 8 kor. — 8·50 Mrk. — 3 Rbs. 60 kop., z przesyłką pocztową 5 Rbs. 20 kop. Rocznie 16 kor., 17 Mrk. — 7 Rbs. 20 kop., z przesyłką pocztową 10 Rbs. 40 kop.
W Ameryce: Półrocznie 2 dol. 25 cts. — Rocznie 4 dol. 50 cts.
Ceny ogłoszeń: za wiersz jednoszpaltowy petitowy 20 halerzy — na ostatniej stronie lub w miejscu specyalnie zastrzeżonem 28 halerzy.

Wychodzi każdej soboty.

Redakcya i administracya KRAKÓW XV.
Nowowiejska 83 (dom własny) **Telefon Nr. 479.**

Redaktor naczelny: STANISŁAW LIPIŃSKI.

Główny skład na Królestwo Polskie w Biurze G. Ungra, w Warszawie, Aleja Jerozolimska 78.
Prenumeratę przyjmuje Biuro UNGRA w Warszawie, Aleje Jerozolimskie 78, oraz wszystkie księgarnie tak w Warszawie jak i na prowincyi.

Numer pojedynczy 32 halerzy — 15 kop. — 32 fen.

Wyłączne zastępstwo na Lwów: KAROL BUCHSTAB, Biuro dzienników — Lwów, ul. Karola Ludwika 21.

Rok VIII. Kraków, 23 grudnia 1911. Nr. 51.

W noc wigilijną.



Numer gwiazdkowy.

Od Wydawnictwa!

Z nadchodzącym 1912 rokiem „Nowości Illustrowane“ rozpoczynają 9-ty rok swego istnienia. Ten suchy fakt — w naszych, tak niepomyślnych dla rozwoju prasy stosunkach — jest najwymowniejszym dowodem żywotności wydawnictwa, które przed ośmiu laty podjęliśmy, nie szczędząc pracy i wysiłków...

I dziś, patrząc na ten ubiegły okres naszej wydawniczej działalności — musimy z zadowoleniem skonstatować, że praca nasza nie była daremna, i znalazła uznanie w najszerszych kołach naszego społeczeństwa. „Nowości Illustrowane“ stały się

najpoczytniejszym organem illustrowanym polskim,

który dotarł do wszystkich warstw społecznych, do wszystkich zakątków ziemi polskiej.

Jest to dorobek, na który możemy spoglądać z dumą, tem więcej, że wydawnictwo nasze musiało dopiero wyrąbywać nieznane drogi na zaniedbanej zupełnie u nas niwie **illustracyi aktualnej.** „Nowości Illustrowane“ są **pierwszym w Polsce organem,** który daje

illustrowany obraz chwili bieżącej,

tak w zakresie spraw krajowych, jak i wydarzeń światowych.

Że powstanie takiego organu było potrzebą ogółu, świadczy najlepiej ośmioletni rozwój naszego pisma, które z zadowoleniem może stwierdzić, iż **wyparło z kraju obce tego rodzaju wydawnictwa,** różne „Blatty“ niemieckie, rozchodzące się przedtem — w braku polskich wydawnictw — w olbrzymiej wprost u nas liczbie... Stwierdziwszy ten dodatni fakt, zdajemy sobie sprawę, że uznanie ogółu i wzrastające wciąż szeregi naszych Czytelników — powinny być bodźcem do dalszych wysiłków i ulepszeń. I w tym kierunku nie ustajemy w pracy, aby spełnić w miarę sił i środków to kulturalne zadanie, jakie ma przed sobą nasze wydawnictwo.

Stojąc na stanowisku narodowem, lecz ponad walkami partyjnemi, „Nowości Illustrowane“ są

organem dla wszystkich,

odzwierciadlającym wszechstronnie **wszystkie, tak skomplikowane przejawy współczesnego życia.** Należyte jednak wypełnienie tego trudnego zadania wymaga olbrzymiego nakładu kosztów i ciągłych ulepszeń technicznych. I pod tym właśnie względem „Nowości Illustrowane“ weszły odrazu w fazę doniosłych ulepszeń. Wydawnictwo nasze, przeniósłszy się przed rokiem do **własnego budynku** — stworzyło tam **własne zakłady,** jak cynkotypię, drukarnię i t. d. urządzone według wymagań współczesnej techniki i zatrudniające przeszło 60 ludzi... Te warunki techniczne, wymagające wielkich nakładów kapitału, pozwolą nam wprowadzić w roku przyszłym cały **szereg ulepszeń,** tak w zewnętrznej stronie wydawnictwa, jak i co do

szybkości i dokładności w illustrowaniu chwili bieżącej...

Dbając o wewnętrzną treść wydawnictwa, pozyskaliśmy cały szereg nowych korespondentów-fotografów, zarówno w kraju, jak i za granicą, co umożliwi nam jeszcze pełniejsze, niż dotychczas, odzwierciadlanie w „Nowościach Illustrowanych“ wszystkich ważniejszych przejawów życia tak u nas, jak i na szerokim świecie.

Spełniając to zadanie aktualno-illustracyjne, nie zapominamy o dostarczeniu Czytelnikom zdrowej lektury. W tym celu przedewszystkiem postaraliśmy się o obfite zaopatrzenie na rok przyszły naszego

działu beletrystycznego.

Oprócz niezmiernie interesujących **powieści tłómaczonych**, pozyskaliśmy lub mamy przyobiecane

oryginalne utwory powieściowe najwybitniejszych pisarzy polskich,

między innymi

Gabryeli Zapolskiej, Maryi Rodziewiczówny, Walerego Przyborowskiego, Zygmunta Sarneckiego, Wacława Gąsiorowskiego, Artura Gruszeckiego i innych.

Z szeregu tych nowych **powieści oryginalnych,** które w roku przyszłym dostarczą naszym Czytelnikom zajmującej i zdrowej strawy duchowej, **rozpoczynamy już w dzisiejszym numerze powieść**

Walerego Przyborowskiego p. t. „KREW“

osnutą na tle **ostatnich wypadków w Królestwie Polskiem.**

Po ukończeniu tej powieści przystąpimy natychmiast do druku **nowej powieści ARTURA GRUSZECKIEGO.** Autor porusza w niej temat bardzo interesujący i aktualny, bo dotyczący wzajemnych stosunków Galicyi i Królestwa Polskiego.



W NOC WIGILIJNĄ.

Jakieś się dziwy wielkie dzieją w Betlejemie,
Jakieś dziwy... i łuny upowiły ziemię
I na świat idzie radosna nowina,
iże Panna... Panienka światu rodzi Syna.

Że Zmiłowanie idzie już na ludzkie plemię,
Na biedne dzieci Adama i Ewy...
Anielskie jakieś w gwiazdy biją śpiewy —
Anioł pasterze budzi po dolinie śpiące,
A nad szopą w gloryi cud — w noc... wschodzi słońce...

A cóż ty, biedny chłopie, ty... w zgrzebnej siermiędze,
Czy masz choć dziś opłatek i kęs chleba
I trochę słońca... Jeśli pokryjomu w domu
Łzy teraz lejesz... to idź, biedny chłopie,
Tam u żłóbka, w cichej, walącej się szopie
Temu, co umiłował was w zgrzebnej siermiędze,
Złożyć wszystkie swe żale i troski i nędze!...

Wesele z tobą dziś, ty biedny chłopie,
I niech się cudnie dziś twój sen rozwija,
Bo oto w noc tę, patrz, idą ku tobie
Jezus maleńki, Józef i Maryja.

OD REDAKCYI.

Wszystkim naszym P. T. Prenumeratorom, Czytelnikom, Korespondentom i Przyjaciołom zasyłamy tą drogą serdeczne życzenia

„Wesołych Świąt!“

Przygoda królewskiej rodziny.

Dziwny traf płata nieraz przykre figle nie tylko zwykłym śmiertelnikom, ale i członkom rodziny królewskiej... Gdy król angielski Jerzy V. był bohaterem wspaniałych uroczystości „durbaru“ w Delhi, w prastarej stolicy Indyi, siostra jego wraz z mężem ks. Fife i dwiema córkami, księżniczkami Maud i Aleksandrą — przeżyli na pokładzie statku tej samej nazwy i w tym samym czasie straszne chwile morskiej katasrofy...

Okręt angielski „Delhi“ płynął z Londynu do Port Said z 200 pasażerami, wśród których znajdowali się księstwo Fife z córkami. Nagle, w nocy z d. 12 na 13 b. m. t. j. w dzień „durbaru“ okręt „Delhi“ najechał niedaleko Tangeru na rafę podwodną.. Na domiar nieszczęścia zerwała się wielka burza... Fale rozhukanego morza zalewały okręt, który ginął w kaskadzie strzelającej aż ponad maszty piany wodnej. Sytuacya stawała się coraz groźniejszą, gdyż kabiny zostały wkrótce zalane, a huragan miotał uwięzionym na rafach okrętem. Wśród pasażerów wszczął się straszny popłoch. Dano im pasy ratunkowe i zgromadzono w salonie okrętowym, gdzie dla uspokojenia płaczących dzieci i kobiet jeden z pasażerów począł grać na fortepianie. Nie poprawiło to jednak groźnej sytuacyi okrętu. Skuteczniejsze okazały się... syreny okrętowe, które sprowadziły pomoc. Najpierw przybył krążownik francuski „Friant“, z którego spuszczono szalupę motorową. Gdy przybiła ona z trudem do „Delhi“, ks. Fife nie chciał pierwszy opuszczać zagrożonego okrętu... Na szalupę zabrano kobiety i dzieci. Dopiero za trzecim powrotem szalupy, rodzina królewska opuściła „Delhi“ i wsiadła do łodzi ratunkowej... Burza jednak tymczasem wzrosła i wylądowanie nie obyło się bez wypadku. Szalupa wywróciła się, na szczęście niedaleko brzegu. Księstwo Fife i ich córki znikli na chwilę w falach morza, ale dzielni marynarze francuscy zdołali wszystkich wyratować. Rodzina królewska, po tak przykrej przygodzie, udała się do najbliższej latarni morskiej, gdzie zmieniła odzież, a stamtąd odjechała końmi do Tangeru.

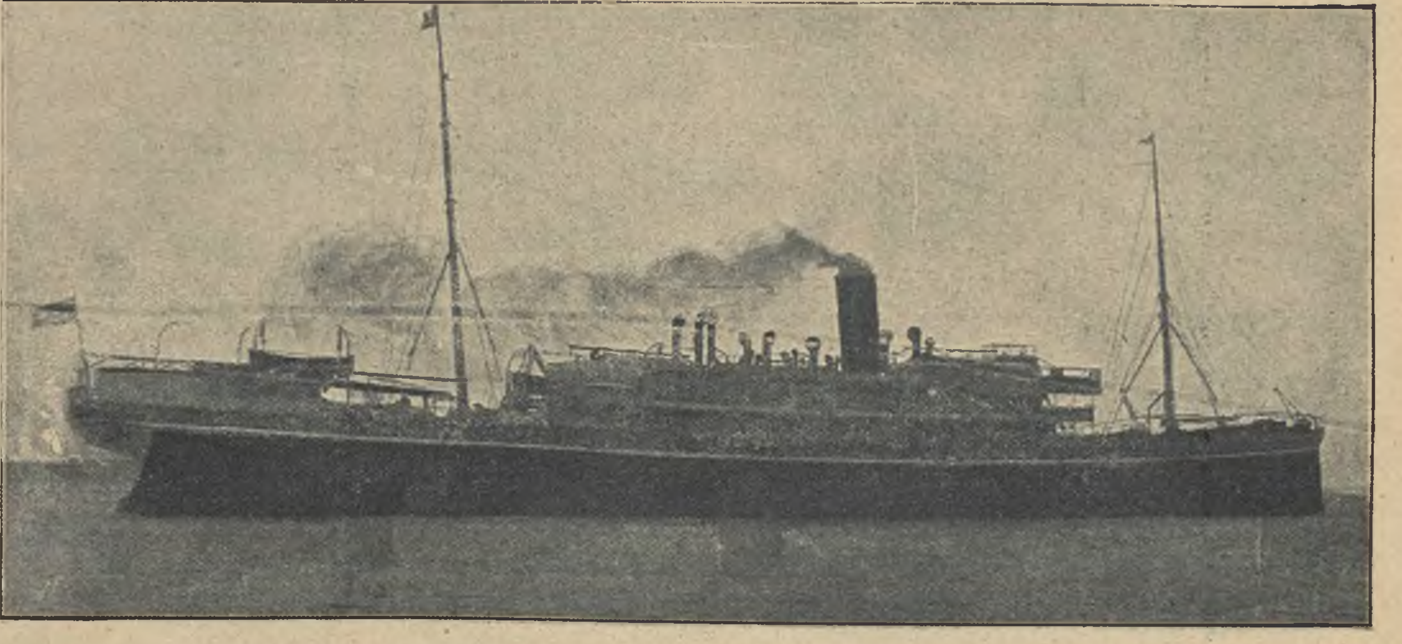
Katastrofa nie obyła się jednak bez ofiar: trzech marynarzy francuskich bohaterski ratunek przypłaciło życiem.

Laureaci Nobla.

Z radością dowiedziało się niedawno społeczeństwo polskie, że jedną z pięciu tegorocznych nagród fundacyi Nobla otrzymała Polka, słynna na cały świat wynalazczyni radium p. Curie-Skłodowska — o której pisaliśmy już z tego powodu w jednym z poprzednich numerów.

Nagroda Nobla wartą jest swej sławy, jaką posiada. Każdy laureat bowiem dostaje około 190 tysięcy koron. Jest to suma dość ponętna, zwłaszcza dla uczonych, którzy, jak wiadomo, nie rekrutują się z milionerów, a na swe prace i badania naukowe potrzebują dużo pieniędzy. A jednak znalazł się taki „dziwak“, który pogardził krociową nagrodą. Był nim przed rokiem zmarły „prorok“ z Jasnej Polany, Lew hr. Tołstoj, który nie przyjął pieniędzy...

Tegoroczne nagrody oprócz p. Skłodowskiej otrzymali: za odkrycia w dziedzinie fizyki Niemiec, prof. Wilhelm Wien z Würzburga, za prace swe z zakresu medycyny Szwed, prof. Allvar Gullstrand z Upsali, a nagrodę za prace literackie słynny poeta belgijski Maurycy Maeterlinck. Nagrodę za prace w zakresie pokoju powszechnego rozdzielił parlament norweski w równych częściach między Alfreda Frieda, redaktora pisma „Friedenswerke“ w Wiedniu i ministra holenderskiego Assera w Hadze, prezydenta paryskiego Instytutu prawa międzynarodowego. Ostatnia nagroda dziwne nasuwa refleksye. Alfred Nobel, twórca fundacyi, utalentowy inżynier szwedzki, dorobił się milionowego majątku jako fabrykant armat. Przez całe życie wyrabiał straszne narzędzia śmiercionośne, by z zebranego majątku, liczącego 30 milionów koron, poprzeć usiłowania pokojowe ludzkości — po swej śmierci. Za życia pracował tylko dla... wojny.

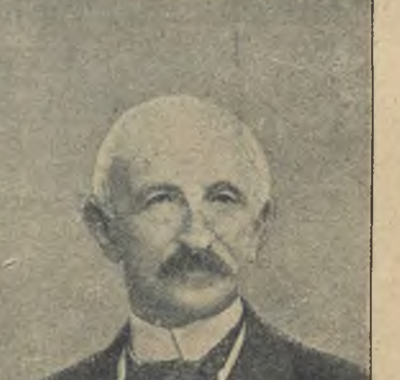


Przygoda królewskiej rodziny: Parowiec „Delhi“, który wioząc na pokładzie siostrę króla angielskiego ks. Fife z mężem i dwiema córkami, uległ w d. 12 b. m. katastrofie u wybrzeży marokańskich.

Jubileusz zasłużonego dziennikarza.

Redakcya „Nowej Reformy“ święciła w ubiegłą niedzielę piękną uroczystość, jubileusz dwudziestopięcioletniej działalności dziennikarskiej i literackiej znanego krytyka i sprawozdawcy literackiego i artystycznego, p. Władysława Prokescha.

Dwadzieścia pięć lat minęło od chwili, gdy Jubilat pomieścił na szpaltach „Nowej Reformy“ swój pierwszy fejleton



Laureaci Nobla: Minister Asser z Hagi, nagrodzony za prace w zakresie pokoju powszechnego.

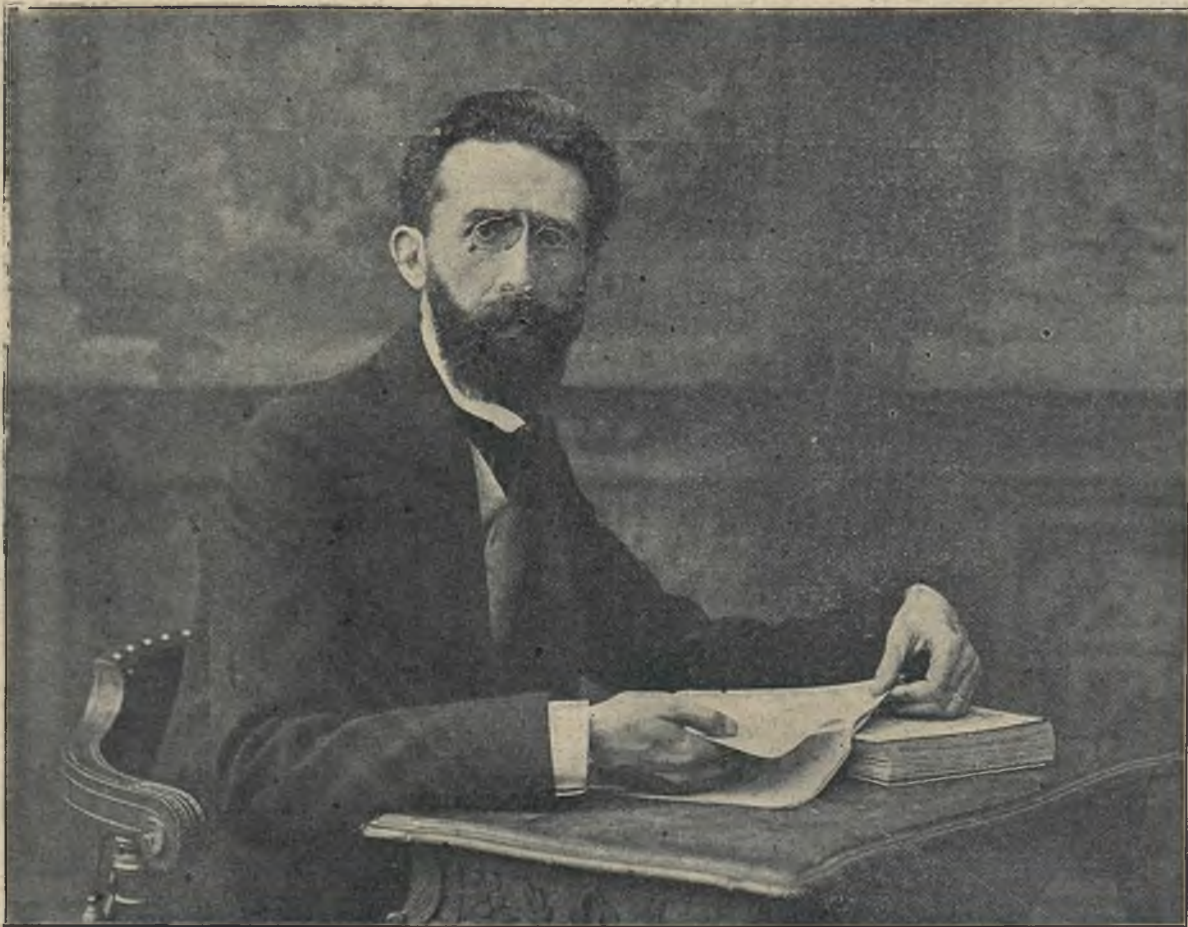


Przygoda królewskiej rodziny: Księstwo Fife z córkami Aleksandrą i Maud na pokładzie parowca „Delhi“.



Laureaci Nobla: dr. Curie-Skłodowska, która obecnie otrzymała po raz drugi nagrodę Nobla za prace w zakresie chemii.

literacki. Od tego czasu aż do dnia dzisiejszego należy stale do składu jej redakcyi, zasilając swem piórem bądź to dział literacki i artystyczny, bądź też pisując recenzye i fejletony literackie, a przez



Jubileusz zasłużonego dziennikarza: Współredaktor „Nowej Reformy", Władysław Prokesch.

cały ten czas nie sprzeniewierzył się nigdy sztandarowi, pod którym rozpoczął swą działalność publicystyczną.

Dzisiejszy Jubilat, to człowiek w sile wieku, mający przed sobą jeszcze wiele lat ciężkiej pracy dziennikarskiej, której z pewnością nie porzuci, tak się z nią zżył i pokochał ją serdecznie. Sympatya, miłość i uznanie starej zwłaszcza generacyi przedstawicieli naszej literatury i sztuki, to wymowny dowód, że na ważnym posterunku pracował zawsze uczciwie i pożytecznie, bo wychodził ze słusznej zasady, że przy ocenie, zwłaszcza młodych talentów, należy raczej kierować się miłością i pobłażliwością, a nie zbytnią surowością.

Srebrne gody dziennikarskie p. Władysława Prokescha, choć obchodzone tylko w ścisłem kole redakcyjnem i osobistych przyjaciół, znalazły też oddźwięk serdeczny nie tylko w kraju, ale i za jego granicami, jak o tem świadczy wymownie cały szereg pism i depesz gratulacyjnych, nadesłanych z różnych stron.

I redakcya „Nowości illustrowanych", która miała ten zaszczyt zaliczać Jubilata do grona swych współpracowników, łączy się w tej uroczystej dlań chwili z ogółem i przesyła z serca płynące życzenia, by długo danem mu było pracować równie owocnie na niwie dziennikarskiej i literackiej, na której już tak wybitne położył zasługi.

Ad multos, felicesque annos!



Laureaci Nobla: Prof. Gullstrand z Upsali, nagrodzony za prace w zakresie medycyny.



Laureaci Nobla: Maurycy Maeterlinck, nagrodzony za prace literackie.

Fotograf warszawski w opałach.

Niedawno pisaliśmy o trudnościach, na jakie jest narażony korespondent-fotograf przy zdobywaniu materyału illustracyjnego. Dzieje się to wszędzie, a zwłaszcza w Warszawie, gdzie na wszystko trzeba mieć specyalne „razrieszenie" (pozwolenie). Więc n. p. fotograf, dokonywujący dla „Nowości Illustrowanych" zdjęć na ulicach Warszawy, musi być zaopatrzony w certyfikat władz policyjnych. Gdy jednak ustawi aparat, w tej chwili, jak *Deus ex machina*, zjawia się stróż bezpieczeństwa z lakonicznem pytaniem: „A razrieszenje u was jest'?" Zanim dopełnione zostają formalności sprawdzenia dowodów, zbiera się taki tłum gawiedzi, że zdjęcie jest już zupełnie uniemożliwione... To samo powtarza się przy innej okazyi, na innem miejscu...

W tak tragicznem położeniu korespondent „Nowości Illustrowanych", chcąc mieć zdjęcie z ulicy, z życia miejskiego, uciekł się do fortelu: oto odfotografował swego współzawodnika, fotografa innych illustracyi, właśnie w chwili, gdy przybycie stróżów bezpieczeństwa publicznego przeszkodziło mu w dokonaniu zdjęcia...



Fotograf warszawski w opałach: Zdjęcie fotograficzne na ulicy w Warszawie, udaremnione przez kontrolę policyi.



Jak Matka Boża spierała się z aniołkami.

(Bajka).

A kiedy Marya przebywała w stajence Betleemskiej, nie zbywało jej na niczem. Pastuszkowie przynosili jej wciąż sery, masło i chleby, a żony ich i córki służyły Jej, jakoteż Bożej Dziecinie. Potem przyszli Trzej Królowie i sypnęli do Jej stóp mnóstwo drogich kobierców i złotych klejnotów. A gdy po tygodniu Swięta Rodzina wypoczęła już sobie i chciała powracać do Nazaret, pastuszkowie ofiarowali się przeprowadzić Ją do domu.

— Nie trzeba — odrzekła Marya — macie tu swoje zatrudnienia, swoje trzody i pola, a zresztą pocóż mi wasza opieka, skoro mój Syn czuwa nademną.

A gdy mieli już odchodzić, Swięty Józef rzekł:

— A co zrobimy z podarkami Trzech Królów?

— Zostawimy je tutaj — odrzekła Marya.

— Są przecież takie drogie i piękne.

— Tem lepiej, biedni ludzie będą mieć z nich wiele pożytku.

Rzekłszy to, rozdała wszystko pastuszkom i ich żonom. Swięty Józef zaś nie sprzeciwiał się, lubo miał chętkę zostawić małą choćby cząstkę dla siebie. Ale Marya, która czytała w jego myślach, upominała Go, mówiąc:

— Nie mamyż to skarbu droższego nad te wszystkie kosztowności?...

Poszli więc w drogę, a słońce przypiekało mocno. Marya niosła Dziecinę na ręku, a Józef dźwigał koszyk z bielizną i żywnością. Około południa zatrzymali się dla wypoczynku, usiedli na skraju lasu. Natychmiast wybiegła z poza drzew gromadka aniołków, które służyć chciały Jezusowi i Maryi. Były to ładne, pyzate aniołki, z rumianemi twarzyczkami i białemi skrzydełkami, które im tryskały u ramion. Były przytem daleko silniejsze, niżby to można było wnosić z ich drobnych postaci. Jeden z nich przyniósł Maryi i Józefowi dzbanek świeżej, źródlanej wody, inne podawały koszyczki, pełne smacznych jagód, uzbieranych nie wiadomo gdzie. A gdy Swięta Rodzina udała się w dalszą drogę, aniołki leciały ślad w ślad za Nią. Odebrały też wnet Józefowi koszyk z bielizną, na co Józef zezwolił, gdy jednak wziąć chciały Dziecię Jezus z rąk Bożej Matki, Marya ofuknęła je i nie powierzyła im swego skarbu. Gdy noc nadeszła, usłały aniołki Swiętej Rodzinie miękkie posłanie z mchów leśnych, same zaś usiadły pod drzewem, czuwając nad snem Jezusa. I tak przybyli wszyscy razem do Nazaretu, gdzie Józef miał własny swój biały domek, z płaskim dachem i krytą komórką, w



której znajdował się jego warsztat ciesielski. Aniołki zagnieździły się w białym domku i nie przestawały służyć we wszystkiem Jezusowi, Maryi, a także i Józefowi. Skoro Dziecię Jezus zapłakało, kołysały Je cicho, lub też przygrywały Mu ślicznie na małych, złotych gęślach.

Zmieniały Mu też pieluszki, porządkowały izbę, służyły do stołu, a po obiedzie lub wieczerzy zmywały misy i garnuszki w pobliskiej krynicy, a potem ustawiały je na policach. Skoro znów Matka Boska zdrzemnęła się przy kądzieli, zabierały Jej z rąk wrzeciono i przędły za Nią, tak, że gdy się zbudziła, całe przędziwo było już skończone. Nie mniej chętnie służyły też Józefowi, podając Mu hebel, to piłę, wymiatając Mu warsztat z wiórów i śmiecia, tak że był schludny i wesoły, jak najpiękniejsza świetlica. Doszło wreszcie do tego, że Matka Boska nie miała żadnego zajęcia, bo aniołki odrabiały za Nią wszelką robotę.

Mając więc dużo czasu modliła się i przemyśliwała. Aż jednego ranka, zbudziwszy się wcześnie, obaczyła, jak aniołki zamiatają izbę. Wyrwała im tedy z ręki szczotkę i wypędziła za próg. Pierzchnęły wszystkie, ale na obiad powróciły znowu.

Gdy jednak zaczęły swoim zwyczajem służyć do stołu i zabrać się chciały do zmywania naczyń, Matka Boska trzepnęła jednego z nich po paluszkach, na co wszystkie wyfrunęły z pokoju, jak stado wróbli.

Po obiedzie jednak zakradły się znów do izby, a jeden z nich, myśląc, że Marya zdrzemnie się, jak codzień, próbował wysunąć jej z rąk wrzeciono. Wtedy Marya furknęła tak groźnie wrzecionem, że się aniołek zląkł i uciekł aż do warsztatu Swiętego Józefa.

Skoro jednak w godzinę potem Matka Boska usiadła przy kołysce, szyjąc koszulkę dla Jezusa, obaczyła dwa aniołki, które wsunęły się pod kołyskę i próbowały ją ukradkiem poruszyć.

Tego już było za wiele Matce Boskiej, wyciągnęła uparciuchów z pod kołyski i wyrzuciła ich za drzwi tak szybko, że aż przytrzasnęła jednemu z nich skrzydełko.

Aniołek krzyknął z bólu, wtedy Marya oswobodziła go, mówiąc:

— Bardzo mi cię żal, ale masz to, na coś zasłużył! Idź mi precz z oczu i powiedz tamtym, aby mi się nie śmieli pokazywać.

Ale wówczas Józef rzekł:

— I pocóż wyganiasz te miłe chłopięta, które oddają nam tyle usług?

— Bo nie chcę, aby nam służyły — odrzekła na to Marya.

— Nie rozumiem — zadziwił się Józef. — Skoro Twój Syn jest Zbawicielem świata, czyż nie słusznem jest, aby służyły Mu anioły i inne duchy niebieskie.

— Jakże mało rozumiesz mego Syna — odrzekła Mu na to Marya. — Skoro podobało Mu się przyjść na świat, aby cierpieć wraz z ludźmi, musi przechodzić wszystkie cierpienia i słabości, jakie znoszą inne dzieci. Ja, matka, mam prawo czuwać nad Nim i łagodzić Jego przykrości, ale innym od tego wara. A zresztą wiem przecie, że Syn mój woli o wiele piastowanym być przezemnie, niż przez te skrzydlate pędraki. Zgadza się też bardziej z Jego wolą, abym się koło Niego trudziła. Będę Go też sama spowijać, tulić, śpiewać Mu do snu i prać Jego koszulki, aniołki zaś nie mają się tu poco wtrącać.

— W takim razie — westchnął Józef — i ja także wyrzec się muszę ich usług.

— Oczywiście, przyjacielu — odrzekła Marya.

Przez cały dzień i noc następną sfukane aniołki nie pokazywały się już w białym domku.

Gdy jednak trzeciego dnia Dziecię Jezus kwilić zaczęło w nocy, żałośniej, niż zwykle, Matka Boska, która wstała, aby Go utulić, usłyszała pod oknami cichutkie, ale bardzo dźwięczne i słodkie granie. Domyśliła się wnet, że to krnąbrne aniołki powróciły mimo Jej zakazu i otworzyła z impetem drzwi, aby je skarcić. Ujrzała też istotnie skrzydlate chłopięta, ustawione szeregiem pod ścianą, ze swemi złotemi gęślami.

— A wy tu poco? — krzyknęła Matka Boża. — Nikt was nie wołał i nie jesteście tu potrzebne. Skoro Synowi memu podoba się nie spać w nocy, skoro podoba mu się chorować na ząbki i płakać, jak inne dzieci, to będzie to robił, a wam do tego nic. Idźcie precz, bo się naprawdę rozgniewam!

Tym razem aniołki odeszły na dobre, ale gdy na drugi dzień Matka Boża wyszła na podwórko, dostrzegła je wszystkie stojące pod figowem drzewem. Twarzyczki ich były wykrzywione, a z oczu płynęły łzy.

I zrobiło się ich żal Matce Boskiej, zawołała ich też przed siebie i rzekła:



— Moje kochane aniołki! Uważacie mnie z pewnością za bardzo surową, ale bo jesteście jeszcze małe i nie rozumiecie, o co chodzi, zwyczajnie, jak dzieci. Skoro chcecie sprawić naprawdę przyjemność memu Synowi, dam wam inną radę. Tu, o dwa kroki odemnie, mieszka stara, sparaliżowana kobieta, o którą nikt nie dba. Polećcie do niej, służcie jej w dzień i w nocy, a ucieszycie tem Syna mego. A czyż niema w Nazaret małych dzieci sierotek i ludzi biedaych, opuszczonych i chorych? Idźcie do nich i oddawajcie im usługi wasze, których my nie potrzebujemy.

A widząc, że aniołki zmartwione są bardzo, iż muszą odejść od Jezusa, dodała na pociechę:

— Skoro mój Syn trochę podrośnie, pozwolę wam bawić się z Nim.

Aniołki usłuchały. Tak więc w tym roku wszystkie biedne dzieci, wszyscy chorzy i opuszczeni w Nazaret pielęgnowani byli przez małe, zręczne istotki, których nie widział nikt, prócz Józefa i Maryi.

A małe dzieci nie chorowały wcale, ani płakały, bo Dziecię Jezus cierpiało za nie i wzięło na siebie wszystkie ich dziecinne troski.

Z ginącego państwa.

Państwa umierają, jak ludzie, jedne tragiczną śmiercią, inne spokojnie na bezwład starczy, a inne jeszcze z łaski sąsiadów, którzy pomagają im uprzejmie zakończyć marny żywot... Umiera i Persya... Niegdyś była monarchią pierwszą w świecie. Było to na 500 lat przed narodzeniem Chrystusa. Sława Persyi, pod jarzmem Arabów, a potem Tatarów i Mongołów.

I znowu zmartwychwstała potęga Persów około roku 1500. Założył ją Ismail Seffi, który przyjął tytuł szacha, to jest zastępcy Boga na ziemi. I to trzecie mahometańskie państwo perskie zbliża się obecnie ku swemu końcowi... Jakby na ironię, Persya przed kilku laty stała się państwem

Jakkolwiek Persya posiada kilka kopalni ołowiu i miedzi, przemysł metalurgiczny jest tam słabo rozwinięty, atoli istnieje kilka fabryk, które wyrabiają broń i przedmioty metalowe. Jedna z naszych ilustracyi przedstawia właśnie perskich robotników metalowych. Na innej widzimy obraz kawiarni lub — jak kto woli — herbaciarni. Persowie piją dużo herbaty, atoli w kraju nie uprawiają ani ziół her-



Z ginącego państwa: Derwisze perscy.



Z ginącego państwa: Posterunek na granicy persko-rosyjskiej w Astarze.

i bogactwo Cyrusów i innych królów starej Persyi imponowały całemu światu. Jeżeli poeta rzymski lub grecki chciał wyrazić najwyższe pragnienie bogactwa, to pisał: „chciałbym być tak bogatym, jak król perski". Babilon, stolica Persyi, była ówczesnym Paryżem świata.

Ale losy tego państwa były bardzo zmienne i dwukrotnie już traciło ono swą niezależność.

W r. 330 przed Chr. potężna monarchia perska padła do stóp zwycięskiemu Aleksandrowi Wielkiemu i pozostawała w niewoli 500 lat.

W trzecim wieku po Chr. uzyskała Persya niepodległość i znowu przez przeszło 400 lat była kwitnącem państwem. Lecz w r. 651 Arabowie mahometańscy zdobywają Persyę, narzucają narodowi perskiemu swą religię (dotąd jeszcze panującą) i swą władzę. Aż ośmset lat trwała ta druga niewola

konstytucyjnem, zreorganizowała armię, wypędziła starego, absolutystycznego szacha, Mohameda Alego, a rządy Persyi w imieniu 10-letniego „syna słońca" sprawuje obecnie faktycznie parlament. Ale te wszystkie reformy są już — jak się zdaje — tylko konwulsyami przedśmiertnemi.

Z tego ginącego państwa podajemy w dzisiejszym numerze kilka ilustracyi, przedstawiających typy i rodzaje życia zarobkowego w Persów. Najwięcej rozwiniętym w Persyi jest przemysł tkacki. Słynie zwłaszcza Persya na całym świecie z wyrobu dywanów, które wywozi w znacznej liczbie zagranicę. Wyrobem tkanin i dywanów zajmują się zarówno w domu kobiety perskie, jak i robotnicy w fabrykach. Jedna z illustracyi naszych przedstawia właśnie kobiety perskie zajęte przy warsztacie tkackim.

baty, ani kawy, sprowadzając je z Chin przez Rosyę.

Wogóle wytwórczość przemysłowa Persyi jest bardzo uboga i dlatego kraj ten stanowi bardzo ponętny rynek zbytu dla innych państw. Jedynie tkaniny, a zwłaszcza znane powszechnie dywany wywozi Persya w wielkiej ilości za granicę.

Galicya zresztą zna Persyę nie tylko z... dywanów perskich, ponieważ przed kilku laty gościła w Krakowie i Lwowie szacha Mohameda-Alego, który z wielką świtą przejeżdżał wówczas do Wiednia. Egzotyczny władca podobał się Galicyi, a jego kilkodniowy pobyt w pewnym lwowskim hotelu kosztował go przeszło 40.000 koron. Szach zapłacił chętnie słony rachunek i wywdzięczył się nawet Galicyi za gościnę obficie rozdawanymi orderami...



Walka z cholerą w Trypolisie: Włoscy sanitaryusze zbierają chorych na cholerę Arabów z ulicy.

Walka z cholerą w Trypolisie.

Najazd włoski przywiózł do Trypolisu prócz karabinów i armat jeszcze jednego strasznego wroga — cholerę. Epidemia ta w miastach trypolitańskich przybrała wielkie rozmiary, zwłaszcza wśród tubylczej ludności arabskiej, nieprzygotowanej do walki z tym azyatyckim gościem... Chcąc uchronić swą armię od tej zarazy, która acz w mniejszym stopniu, pochłaniała jednak ofiary i wśród żołnierzy włoskich, musieli Włosi pod ogniem nieprzyjacielskim zorganizować szerszą akcyę do walki z cholerą nie tylko we własnych szeregach, ale i dla ludności arabskiej Trypolisu, gdzie epidemia najbardziej się szerzyła... Tam — w dzielnicy arabskiej — ludzie padali na ulicy jak muchy, nie znajdując żadnej literalnie pomocy od bezsilnych wobec tej epidemii współrodaków... Zorganizowano więc naprędce służbę sanitarną, która niosła pomoc w zaułkach arabskich, gdzie pod murami umierali dotknięci cholerą Arabowie...

Jedna z ilustracyi naszych przedstawia właśnie moment, gdy w pierwszej, najstraszniejszej fazie epidemii sanitarny patrol włoski, nie mogący podołać olbrzymiej pracy, nocą spełnia w dzielnicy arabskiej swój ciężki obowiązek. W mroku nocnym czernieją na ulicy leżące ciała arabskie. Chorzy wiją się z bólu — obok nich spoczywają nieruchomo ci, których męczarniom już śmierć kres położyła... Sanitaryusze przy świetle latarek oglądaja to straszne żniwo cholery — aby nieść pomoc chorym, a zwłoki uprzątnąć...



Walka z cholerą w Trypolisie: Podwórze zamienione na szpital dla cholerycznych.

Wobec wielkiej liczby chorych brakło budynków na ich pomieszczenie. Utworzono więc szpitale prowizoryczne na dziedzińcach! Jeden z takich prymitywnych szpitali widzimy właśnie na naszej ilustracyi. „Pacyenci“ leżą pod gołem niebiem na lichej podściółce lub brudnej ziemi. . Jaką mogła być w takich warunkach skuteczność kuracyi — nie trzeba chyba dodawać. Należy jednak oddać sprawiedliwość Włochom — że tego rodzaju „szpitale“, które miały tylko znaczenie izolacyjne, usuwając chorych na cholerę z pośród zdrowej ludności — fungowały tylko chwilowo, do czasu wybudowania specyalnych baraków cholerycznych. Zwalczając we własnym zresztą interesie epidemię, Włosi z wielkim pośpiechem wznieśli cały szereg prowizorycznych budynków szpitalnych, zaopatrzonych we wszelkie niezbędne urządzenia i wystarczających na pomieszczenie chorych.

Roztoczono również opiekę sanitarną nad ludnością arabską miasta, przyczem rozwinięto nawet akcyę filantropijną, rozdając żywność ubogiej ludności miasta. Na jednej z ilustracyi widzimy właśnie moment rozdawania gorącej zupy pomiędzy dzieci arabskie, które pomimo strasznej walki, jaką toczą ich ojcowie i bracia z Włochami poza murami miasta — tutaj przychodzą same do koszar włoskich i z radosnym uśmiechem niosą do domu otrzymaną porcyę gorącej strawy...

Jak donoszą ostatnie wiadomości — dzięki tej energicznej walce władz włoskich z cholerą, rozmiary epidemii w Trypolisie znacznie się zmniejszyły.



Z ginącego państwa: Robotnicy perscy.

Niespokojna ciocia.

Biedny ten król Alfons hiszpański! Nie dość, że rewolucyoniści ciągle sprawiają mu wiele kłopotów, jeszcze i własna ciocia zalewa mu obecnie gorącego sadła za skórę.

Infantka Eulalia, rodzona siostra zmarłego króla Alfonsa XII., znaną jest w świecie z swych wolnomyślnych zapatrywań i niejednokrotnie już zajmowała swą osobą opinię publiczną. Zwłaszcza w Hiszpani ma ona pomiędzy republikanami bardzo wielu zwolenników, stawiających ją jako wybitny kontrast w stosunku do królowej matki, Maryi Krystyny, będącej widomą głową hiszpańskiego stronnictwa klerykalnego. W sferach natomiast dworskich ma pani Eulalia niezliczoną liczbę wrogów, nie mogących tego ścierpieć, aby księżniczka, należąca do rodziny, przestrzegającej z taką ścisłością średniowiecznego ceremoniału i etykiety, nie tylko mało dbała o swą rangę i tytuł, ale nawet manifestowała publicznie swe prawie czerwone zapatrywania!...

Wrzało też na dworze madryckim, ilekroć ktoś wspomniał głośno o cioci Eulalii, wybuch nastąpił z okazyi zapowiedzi dzienników, iż pojawi się wkrótce jej praca literacka p. t. „Przędza życia“, mająca rzekomo stanowczo i dosadnie potępiać nierozerwalność małżeństw katolickich.

Nie jest to wcale pierwszy debiut literacki infantki, pisywała ona już przedtem udatne fejletony do pism francuskich i niemieckich, obawiano się jednak, czy przypadkiem książka nie zawiera jakichś niepotrzebnych wzmianek o nieszczęśliwem jej pożyciu małżeńskiem z księciem Antonim orleańskim, z którym rozeszła się definitywnie w r. 1900.

Przysłowiowa gadatliwość niewieściego rodu mogła i musiała być nie na rękę rządowi hiszpańskiemu.

Z tego powodu król Alfons, jako głowa domu,



Walka z cholerą w Trypolisie: Oficerowie włoscy rozdają przed koszarami gorącą zupę dzieciom arabskim.

dowiedziawszy się o zamiarze swej kochanej cioci, postanowił temu przeszkodzić i wysłał do niej do Paryża telegram z żądaniem, by zaniechała wydania dzieła, dopóki on go nie przegląd nie.



Niespokojna ciocia: Infantka Eulalia, ciotka króla hiszpańskiego Alfonsa XIII, w swej pracowni.

Energiczną niewiastę zgniewało to mieszanie się w jej domowe sprawy, odpowiedziała więc odmownie, a nawet ironicznie. Wobec tego z polecenia króla udał się hiszpański amabasador w Paryżu do jej mieszkania i zawiadomił ją oficyalnie, że król użyje wszelkich przysługujących mu prawnie środków, by nie dopuścić do publikacyi książki, ewentualnie ukarze autorkę przez odebranie jej apanaży, wypłacanych ze skarbu hiszpańskiego.

Wmieszały się w to i pisma, klerykalne rzucały na infantkę kamieniami potępienia, radykalne brały ją w obronę i radziły, by nie ustępowała.

Jednakowoż praktyczna niewiasta przyszła do przekonania, że nie do pogardzenia jest lista cywilna w wysokości stu pięćdziesięciu tysięcy pesetów rocznie, wobec czego wystosowała do króla Alfonsa list, w którym go zawiadamia, iż poddaje się jego zarządzeniu, prosi o przebaczenie za nieposłuszeństwo, co zaś do swego dzieła, to wyda je tylko wówczas, jeśli król uzna „Przędzę życia“ za kwalifikującą się do publikacyi.

I tak dzięki Bogu wesoło skończyła się smutna historya z niespokojną ciocią...

Królewskie łowy.

Pomimo, że niewiele brakowało, aby Marokko stało się powodem wybuchu wojny, jeśli już nie ogólnoeuropejskiej, to przynajmniej niemiecko-francuskiej, władca jego, Mulay Hafid, mało zajmuje się polityką, natomiast z całą przyjemnością oddaje się ulubionemu przez się polowaniu.

W dniu 20 listopada b. r. opuścił on mury swej stolicy i w towarzystwie licznego orszaku udał się na polowanie. Nie brakowało naturalnie i eskorty francuskiej, wogóle wycieczka ta przypominała raczej wyprawę wojenną, niż niewinną rozrywkę sportową.

Komendant sił francuskich zebrał pokaźną liczbę kawalerzystów, ze strony rządu marokkańskiego dodano cały zastęp mehallów.

O godzinie 10 rano wyruszył sułtan ze swego pałacu w Dar el Maghzen i udał się na miejsce łowów, położone w okręgu Oulad el Hadj w południowej części Fezu. W granicznej miejscowości Dar Debibagh załoga francuska oddała mu honory monarsze, które przyjął z widocznem zadowoleniem.

Polowano na zające i kuropatwy.

Po ujechaniu kilku kilometrów rozpoczął sułtan łowy, kładąc celnym strzałem pierwszą kuropatwę, w ślad za tem rozległy się strzały na prawo i lewo, a w krótkim czasie mnóstwo zajęcy i kuropatw stało się zdobyczą myśliwych, należących do grona dworzan sułtańskich oraz francuskich urzędników i wyższych oficerów.

Łowy ukończono o godzinie drugiej popołudniu, poczem sułtan u stóp góry podejmował w namiotach swych gości, wyróżniając szczególniej Francuzów.



Znikający stary Wiedeń: Dom z XV. wieku przy ulicy Fleischmarkt.



Królewskie łowy: Sułtan Mulay Hafid w rozmowie z oficerem francuskim podczas polowania w okolicy Fezu.

Po dwu godzinach postoju rozpoczęto odwrót, podczas którego zatrzymał się sułtan chwilę w Dar Debibagh i zwiedził tamże francuski urząd pocztowo-telegraficzny.



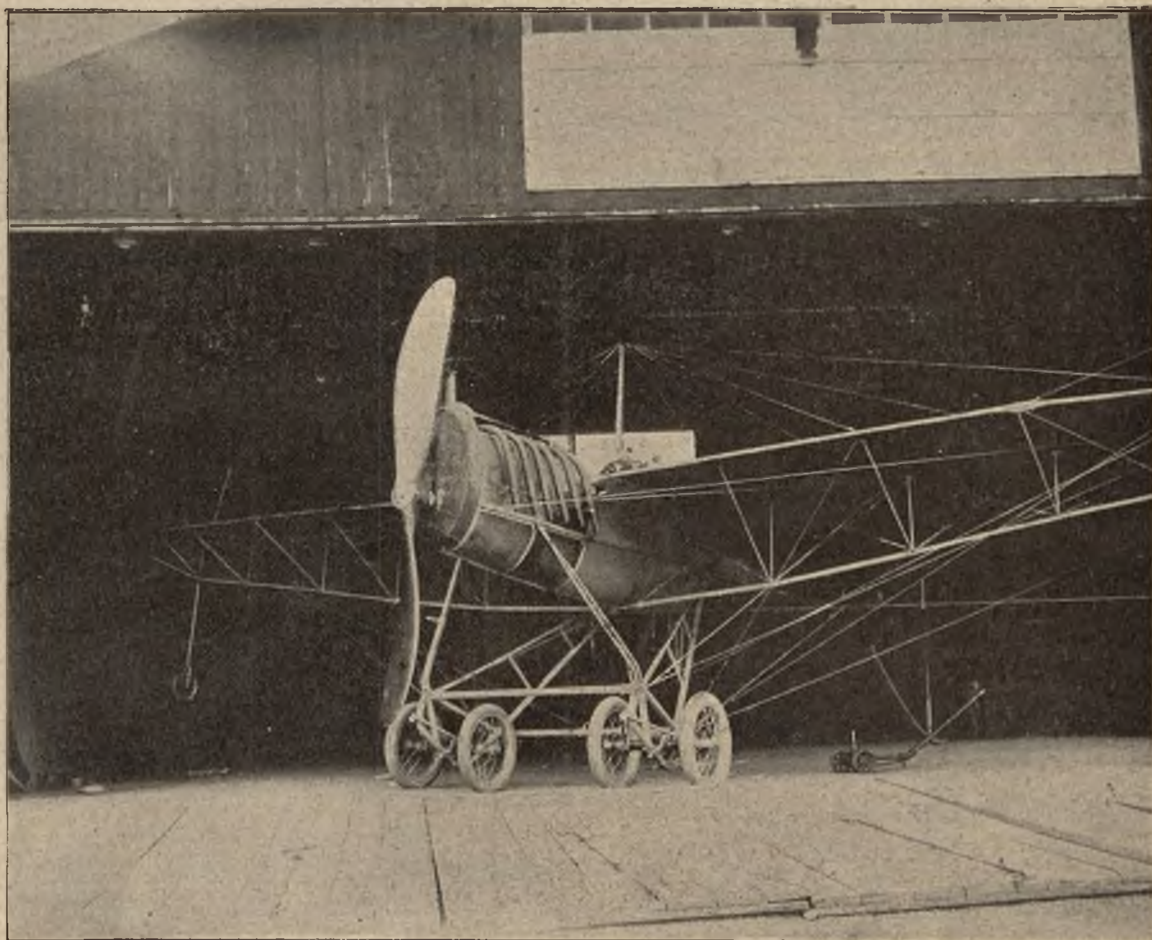
Znikający stary Wiedeń: Kompleks domów z XVI. w. na Schönlaterngasse, które mają być zburzone.

Przy tej sposobności próbował osobiście urządzeń telefonicznych i wysłał zapomocą telegrafu bez drutu depeszę do swego ministra pełnomocnego w Paryżu, El Mokri.

Późnym wieczorem, przy blasku pochodni i lamp elektrycznych, powrócił Mulay-Hafid w wyśmienitym humorze do swej rezydencyi w Dar el Maghzen, oświadczając swym gościom, że dzień ten zaliczy do najprzyjemniej spędzonych w swem życiu.

Aeroplan-pancernik.

Geniusz ludzki jest niepowstrzymany w swym zwycięzkim pochodzie. Każda jego zdobycz jest zachętą do dalszych usiłowań i dalszych zwycięstw. Współczesne pokolenie jest świadkiem wielkiego tryumfu człowieka, który po długich, jak się zdawało, nieziszczalnych usiłowaniach — zdołał wreszcie ujarzmić powietrze. Człowiek-ptak stał się faktem! Ale chwila, kiedy pierwszy aeroplan wzbił się w przestworza — stała się początkiem tem usilniejszej pracy nad udoskonaleniem tego wielkiego wynalazku. „Podbój powietrza“ postępuje też w niezwykle szybkiem tempie. Każdy niemal dzień przynosi nowe ulepszenia w awiatyce. Umysł ludzki wysila się, ażeby aeroplanom — tym powietrznym okrętom — które obecnie, oprócz lotnika mogą już unieść po dwóch pasażerów — nadać możliwie największą siłę lotu. I usiłowania te zaznaczają się pomyślnemi wynikami. Obecnie na lotnisku mokotowskiem w Warszawie dokonywane są próby z „ostatniem słowem“ awiatyki — olbrzymim aparatem lotniczym systemu Etricha. Aeroplan ten posiada motor o sile 120 koni, a więc największy, jaki kiedykolwiek zastosowano w lotnictwie. Cały aparat z motorem sześciocylindrowym ma podstawę stalową, co również jest nowością w konstrukcyi aeroplanów.



Aeroplan-pancernik: Największy aparat lotniczy, z którym dokonywane są obecnie próby na polu Mokotowskiem w Warszawie.

O sile i rozmiarach tego olbrzyma świadczą szczegóły następujące: aparat waży 700 kilogramów, siła pociągowa (a mówiąc ściśle unosząca) 250 kilogramów (dotychczas do 140), szkielet z rur sta-



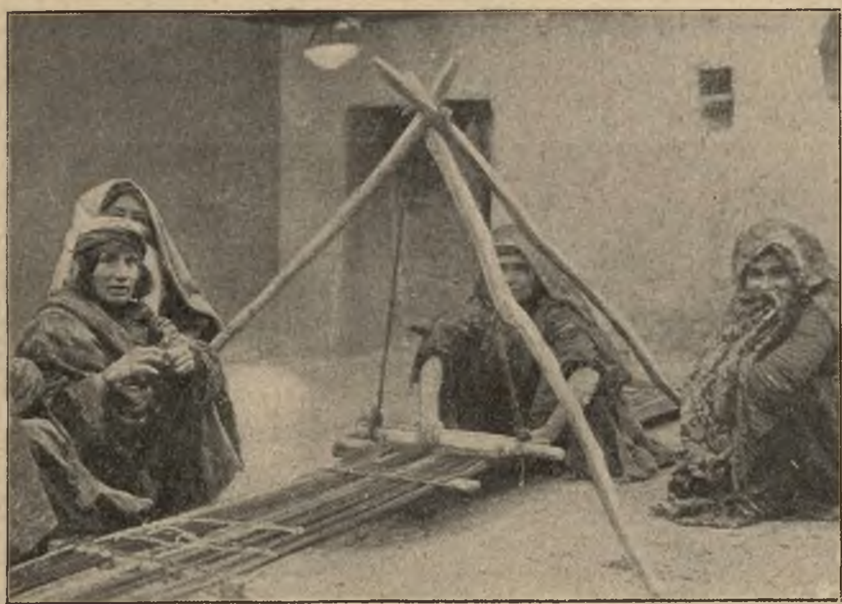
Z prowincyonalnej Melpomeny: Drużyna artystyczna teatru Juliana Myszkowskiego w Kaliszu: Dyr. Myszkowski (X), administrator Marecki (XX).

lowych 40 milimetr., szybkość do 135 kilometrów na godzinę, a do wytoczenia tylko aparatu z hangaru potrzeba 15 ludzi...

Nie ulega wątpliwości, że wobec tak szybkiego rozwoju awiatyki i ten olbrzymi aeroplan-pancernik, który przedstawia nasza illustracya, rychło stanie się tylko stopniem do dalszych, jeszcze potężniejszych zdobyczy geniuszu ludzkiego.

Znikający stary Wiedeń.

W stosunku do innych wielkich stolic, Wiedeń najwięcej jeszcze zachował zabytków starej architektury, które nierzadko wykazują wpływy włoskiego renesansu w szczegółach i fragmentach. Najwięcej tych zabytków przechowało się w śródmieściu, w ulicach grupujących się około placu św. Szczepana od strony wybrzeża kanału Franciszka Józefa. Ale niszcząca ręka nowoczesnego postępu i przemysłu poddaje coraz więcej zagładzie te resztki domów malowniczych z XV. i XVI. stulecia, które jeszcze zachowały piętno swej epoki, ale nie mogą się jednak oprzeć pochodowi nowoczesnej regulacyi miasta i zapędom niszczycielskim. Pomimo protestów komisyi konserwatorskiej, która, jak wszędzie tak i tu pozbawioną jest wszelkiej egzekutywy, idą rokrocznie pod młot stare malownicze zakątki śródmieścia.



Z ginącego państwa: Kobiety perskie pracujące przy warsztacie tkackim.



Z ginącego państwa: Herbaciarnia perska.

Jednym z takich niezmiernie malowniczych zakątków starego Wiednia, do których rzadko zabłądzi przygodny turysta, jest stara ulica zwana Schönlaterngasse, gdzie zachowało się jeszcze kilka domów z XVI. i XVII. wieku w swojej pierwotnej z przed wieków postaci. Najcharakterystyczniejszym w tej grupie jest jednopiętrowy dom zw. „Heiligenkreutz“, dawna siedziba klasztoru Duchaków. Dom ten, oraz cała grupa sąsiednich przechodzących aż do ul. Köllnerhofgasse, ulegnie niebawem zburzeniu, robiąc miejsce całemu kompleksowi wysokich nowoczesnych gmachów.

Zburzeniu uledz ma także drugi, niemniej malowniczy a starszy jeszcze, bo z XV. wieku datujący się dom przy ulicy Fleischmarkt, gdzie mieści się dobrze znany nie tylko Wiedeńczykom lokal, tak zw. Griechenbeisel, najpopularniejsza ludowa piwiarnia wiedeńska. Olbrzymia grubość murów tego domu, wspaniałe sklepienie i arkady, dają dobre świadectwo ówczesnej architekturze.



Z wojny włosko-tureckiej: Odpoczynek regularnego wojska tureckiego w wąwozie w pobliżu oazy.

Z prowincyonalnej Melpomeny.

Życie Melpomeny polskiej nie jest usłane różami. Zwłaszcza w wędrówkach swych na prowincyi musi ona często walczyć z najrozmaitszemi trudnościami, a przedewszystkiem z brakiem... gotówki i odpowiednich budynków. Nie odstrasza to jej jednak od koczowniczego życia po miastach i miasteczkach polskich. W Królestwie Polskiem z wyjątkiem Warszawy i Łodzi — potrzeby artystyczne miast muszą zaspakajać wędrowne trupy teatralne, które o własnych siłach zdobywają podstawy do... wegetowania ze zmiennem powodzeniem w jednem mieście, aby na drugi sezon rozbić namioty w innem... Nie wiele jest też takich miast, gdzie Melpomena może liczyć na gościnne przyjęcie przez czas dłuższy lub na stałe. Do takich szczęśliwych wyjątków należy niewątpliwie Kalisz. Niewielkie to miasto gubernialne w Królestwie Polskiem posiada prześliczny budynek teatralny, położony przytem w uroczym parku nad Prosną. Tam też przez kilka lat z rzędu cieszyła się wielkiem powodzeniem trupa dramatyczno-operetkowa dyr. Myszkowskiego, jak na stosunki prowincyonalne przedstawiająca doskonały zespół zarówno pod względem liczebnym, jak i artystycznym.

Dyr. Myszkowski sprzeniewierzył się jednak Kaliszowi i przez czas pewien zakosztował wędrówki po innych miastach Królestwa Polskiego. Dopiero w obecnym sezonie powrócił do Kalisza, gdzie teatr jego cieszy się zasłużonem powodzeniem.

Illustracya nasza przedstawia artystyczną drużynę teatru kaliskiego z dyrektorem Myszkowskim w pośrodku. Wśród członków trupy widzimy zasłużonego weterana scen prowincyonalnych p. Mareckiego, który pełni w teatrze Myszkowskiego ciężkie obowiązki administratora.

CONAN DOYLE.

GODZINA DUCHÓW.

NOWELA.

Przybyłem do przyjaciela mego, malarza, Harweya Deakou, w zamiarze spędzenia u niego kilku dni świątecznych. Było to w dniu 24 grudnia, to jest w sam wieczór wigilijny. Przyjaciel mój był bardzo zdolnym artystą, ale umysł jego i talent zwracały się chętnie do przedmiotów dziwacznych, nie mających nic wspólnego z codziennem, powszednie życiem. Z tego to zapewne powodu w domu jego panował szczególny nastrój, i stanowczo w jego tylko pracowni zdarzyć się mógł zadziwiający wypadek, który zamierzam opowiedzieć. Zastrzegam się z góry, że nie mam bynajmniej pretensyi, aby mi wierzono na słowo, a jednak gdyby kto chciał sprawdzić wierność mego opowiadania, może się zwrócić do pięciu wiarygodnych osób, które wraz ze mną przeżyły tę nadzwyczajną noc.

Wszedłem do pracowni Harweya w mroczne południe zimowe i zastałem go w towarzystwie kilku osób, które podziwiały świeżo wymalowany przez niego obraz, ustawiony na sztalugach. Panie rozpływały się w pochwałach i rzeczywiście obraz zalecał się bardzo pięknym kolorytem.

— Co myślisz o tym obrazie, Marphamie? — spytał mnie mój przyjaciel.

— Wyznaję — odparłem — że treść jego przekracza moje zrozumienie. Co znaczą te wszystkie zwierzęta?

— To są twory urojone, zwierzęta alegoryczne, które malowano niegdyś jako godła na tarczach herbowych, gryfy, bazyliszki, smoki wszelkiego rodzaju.

— A ten wielki biały koń na przedzie?

— Jaki koń? — spytał Deakou z odcieniem niecierpliwości w głosie. — To wcale nie jest koń, lecz jednorożec, twór fantastyczny, który musiałeś widzieć na herbowej tarczy królewskiej.

— Przepraszam cię — usprawiedliwiałem się zmieszany — ale nie znam się na tych rzeczach, nie zauważyłem też w pierwszej chwili, że twój koń uzbrojony jest w jeden potężny róg, umieszczony nad czołem. Bardzo dziwne stworzenie, bez wątpienia. Ciekawa rzecz, jakby wyglądał taki twór, gdyby istniał rzeczywiście i hasał po naszych łąkach.

— Otóż to właśnie — potwierdził Harwey — chciałem koniecznie wymalować to stworzenie tak wiernie, jak gdyby żyło istotnie. Nie masz pojęcia, ile mnie to trudu kosztowało, ale ostatecznie, dokazałem, jak sądzę, swego. Ale dość już o tem, zostawmy w spokoju mój obraz i mówmy o czem innem.

Odwrócił obraz do ściany i usiedliśmy wszyscy, popijając herbatę, którą potraktowała nas pani Deakou, żona Harweya. — Wtedy dopiero dowiedziałem się z rozmowy, że towarzystwo, które się tu zebrało, miało zamiar odbyć dziś jeszcze nocny seans spirytystyczny.

Zdziwiło mnie to cokolwiek, równie jak i panią Deakou, która sprzeciwiała się usilnie tej rozrywce, uważając słusznie, że dzień wigilijny nie był wcale właściwym do wywoływania duchów i odbywania tych okultystycznych praktyk. Nie lubiła ona wogóle tych posiedzeń nocnych, które pochłaniały tak wiele czasu jej mężowi i odrywały go od pracy. — Nie brała też w nich nigdy udziału, wychodząc z pokoju, skoro się tylko rozpoczynały.

Kto jednak miał kiedy sposobność zetknąć się z ludźmi uprawiającymi spirytyzm, ten wie, z jaką namiętnością oddają się swoim praktykom, tak, że nic w świecie nie zdoła ich powstrzymać od tych niezdrowych doświadczeń. To też i tu na nic się nie zdały przedstawienia żony malarza, aż wreszcie pani Deakou oddaliła się do innej części domu, gdzie wraz z dziećmi miała zająć się przystrajaniem drzewka wigilijnego. Po jej wyjściu dopiero zapoznano mnie bliżej z dwoma osobami, odgrywającemi na tych zebraniach najważniejszą rolę.

Jedną z nich była pani Delamare, żona rzeźbiarza, piękna jasnowłosa kobieta, która, jak się dowiedziałem, miała być wybornem medyum, na drugą oczekiwano właśnie w chwili odejścia pani Deakou. Oczekiwanie nie trwało długo, usłyszeliśmy lekkie pukanie do drzwi, po którem wtoczyła się do pracowni mała, przysadkowata figurka, w której nie zauważyłem nic szczególnego, prócz pary wielkich jasnych oczu, świecących fosforycznym blaskiem.

— A! jesteś pan wreszcie, panie Lepel! — zawołał Harwey, spiesząc żywo na spotkanie nowo przybyłego, którego przedstawił nam, jako znakomitego francuskiego spirystę, przybyłego umyślnie dla zapoznania się z tutejszem kółkiem.

Przystąpiono wtedy do właściwego posiedzenia. Przyćmiono światło w pracowni i zasiedliśmy wszyscy dokoła dużego, mahoniowego stołu — stojącego na środku. Pomimo półmroku widzieliśmy jednak dokładnie nasze twarze i pamiętam, że zwróciłem szczególną uwagę na ręce Francuza, małe, pulchne, krótkie ręce z kwadratowo zakończonymi palcami, które rozłożył na stole, wiążąc je w ogniwo spirytystycznego łańcucha.

— Dawno już nie zasiadałem do seansu w tak wybornych warunkach — zauważył głośno pan Lepel. — Przewiduję wyśmienity skutek. Pani jesteś medyum — dodał, zwracając się do pani Delamare. — Jakich wrażeń doświadczasz pani w chwili uśnięcia?

— Sen mój nie bywa nigdy zupełną utratą świadomości — odpowiedziała pani Delamare. — Jest to wrażenie połowicznej senności, w której daję odpowiedzi, prawie mimo swej woli.

— Zamało się pani poddaje — zauważył Francuz. — Powinna pani wpadać w stan ściśle kataleptyczny. Wtedy dopiero do ciała pani wnijdzie niejako nowa dusza, z którą będziemy mogli wejść w porozumienie słowem lub pismem. Proszę, niech pani usłucha mej rady, niech się pani nie opiera.

— Spróbuję — odparła słabym głosem pani Delamare.

Poczem zapanowała w pracowni zupełna cisza. Po chwili Francuz rzekł:

— To dziwne! co za szczególne stworzenia zaludniają ten pokój. Wszędzie przed sobą i nad sobą dostrzegam coś nakształt białych koni, zaopatrzonych w jeden róg sterczący nad czołem. Ktoś musiał myśleć bardzo usilnie o tych dziwnych tworach.

Usłyszawszy te słowa, Harwey podskoczył.

— Skądże pan możesz wiedzieć o tem?

Widzieliśmy wszyscy, że Lepel wszedł do pokoju już po odwróceniu obrazu do ściany, nie mógł więc wiedzieć, jaką była treść malowidła Harweya.

— Mówiłem przecie panu, że je widzę — niema w tem zresztą nic zadziwiającego. Każda myśl, która powstaje w mózgu człowieka, nabiera natychmiast kształtów w przestrzeni.

— Są to tak zwane ciała astralne — zauważył ktoś z obecnych.

— Ciała astralne? — rzekł z lekceważeniem Francuz. — Smiejcie się z tego panowie. Na takie rzeczy niema określenia. Dość, że białe konie są w pokoju i widzę je, mimo, że nie potrafiłbym ich dotknąć.

— A czy nie mógłbyś ich pan nam ukazać? — spytałem.

— Musiałbym je chyba zmateryalizować, a na to nie mam dostatecznej mocy, a przynajmniej nie jestem pewny, czy ją posiadam, nie wiedząc dokładnie, jaką jest siła medyumiczna pani Delamare. Czy pozwolilibyście mi państwo zmienić trochę rozmieszczenie członków koła?

— Jesteś pan w tych rzeczach większą od nas powagą — zauważył Harwey — rób więc pan wszystko, co uważasz za stosowne.

Francuz usiadł tedy obok pani Delamare, która zdążyła już była zapaść w sen głęboki i polecił zagasić zupełnie światło. Spełniono bez oporu to polecenie. Umilkliśmy wszyscy, tak, że ciszę panującą w pracowni przerywało jedynie tykotanie zegara. Po chwili usłyszeliśmy świszczący, przyspieszony oddech kobiecy.

— Co to jest? — syknął Harwey.

— Pst, wszystko idzie wybornie. Medyum zapada w stan kataleptyczny — szepnął zaledwie dosłyszalnie Francuz.

Uczułem w tej chwili dreszcz w plecach, drobne ukłucia w palcach, palenie w dłoniach i jakby elektryczne wstrząśnienia w lewem ramieniu, sąsiadującem z ramieniem Francuza. Wszyscy obecni musieli doświadczać podobnych wrażeń i siedzieli z zaciśniętemi wargami, nie wydając z siebie głosu. — Ujrzeliśmy też wszyscy fosforencyę stołu, którego cała powierzchnia zaświeciła różowo szarym blaskiem. Jednocześnie stół przechylać się zaczął w jedną, to w drugą stronę. Oswoiwszy wzrok z ciemnością, dostrzegałem wyraźnie białe, kwadratowe palce Francuza, których widok hypnotyzował mnie niejako.

— Doskonale! doskonale! — powtórzył parę razy Lepel. — Rozporządzamy dziś olbrzymią siłą medyumiczną. Możemy też sobie pozwolić na najśmielsze doświadczenia.

— Czy mamy rozpocząć już wystukiwanie alfabetu? — zapytał ktoś.

— Cóż znowu? Przy takiem medyum, jak pani Delamare, możemy sobie pozwolić na dużo ciekawsze doświadczenia.

— M o ż e c i e! — powtórzył nam nagle głos jakiś, płynący niewiadomo skąd i nie podobny do dźwięku mowy żadnej ze zgromadzonych tu osób.

— Kto to powiedział? — pytaliśmy wszyscy kolejno, cichym, przyspieszonym szeptem. — Czy to pani Delamare?

— O s o b a, o k t ó r e j m ó w i c i e, n i e z n a j d u j e s i ę j u ż m i ę d z y w a m i — odparł ten sam dziwny, głęboki głos.

— Cóż się z nią stało? Spodziewam się, że nie spotkało jej nic złego — pytał niespokojnie Harwey.

— Z n a j d u j e s i ę w t e j c h w i l i n a i n n y m ś w i e c i e, g d z i e z a b r a ł a m o j e m i e j s c e, p o d c z a s g d y j a w s t ą p i ł e m n a c h w i l ę d o j e j z i e m s k i e j p o s t a c i.

— A kimże jesteś?

— K i m ś — odpowiedział głos — k t ó r y ż y ł k i e d y ś, p o d o b n i e j a k w y ż y j e c i e t e r a z, i u m a r ł, j a k w y u m r z e c i e w p r z y s z ł o ś c i.

Głos ten i wypowiadane przezeń wyrazy brzmiały tak uroczyście i zaświatowo, że nikomu z nas nie przyszło na myśl przypuszczenie mistyfikacyi. Co do mnie, oczy moje, przywykłe do ciemności, nie schodziły z postaci Francuza. Widziałem jego białawą twarz i usta nieruchomie zacięte. — Podlegał z pewnością, tak samo jak my, nieopisanemu wzruszeniu.

Pani Delamare siedziała nieruchomie z głową opartą o stół i rękoma sztywnie rozłożonemi. Nad nami unosiły się kłęby żółto-popielatej mgły, które zdawały się zwolna gromadzić obok uśpionego medyum.

Uczułem jakąś trwogę i chłodny dreszcz w okolicy serca. Zdawało mi się, że za chwilę przekroczymy zuchwale granicę świadomości, zakreśloną człowiekowi wyższemi, niezmiennemi prawami.

— Dość już tego — jęknąłem mimowoli. — Posunęliśmy się stanowczo za daleko.

— Dlaczego? — zaprzeczył Francuz. — Mamy przecie prawo dowiedzieć się czegoś nowego o siłach rządzących życiem i śmiercią. Jest to zupełnie słuszne i sprawiedliwe.

— Z u p e ł n i e s ł u s z n e i s p r a w i e d l i w e — potwierdził głos.

Zaczęliśmy się zwolna przyzwyczajać do obecności ducha i przyszła nam zupełnie naturalna chętka wypróbowania jego wiedzy.

— Musimy się go o coś spytać — zaproponował Harwey.

— Niech nam da jaki dowód, że istnieje naprawdę i nie jest złudzeniem.

— Powiedz nam, duchu, ile mam w tej chwili pieniędzy w kieszeni? — spytał rzeźbiarz Delamare, małżonek naszego medyum.

— P r z y s z e d ł e m t u, a b y w a s p o u c z y ć, n i e z a ś o d p o w i a d a ć n a t a k b ł a z e ń s k i e p y t a n i a — odparł duch, którego głos stał się zimny i twardy jak stal.

— Duch rozumuje mądrze — rzekł Harwey — możemy go przecież pytać o ciekawsze i ważniejsze tajemnice.

Wtedy ja zabrałem głos z kolei:

— Czy jesteś szczęśliwy?

— T a k.

— Czy pragnąłbyś powrócić do ziemskiego bytu?

— N i e! O, s t a n o w c z o n i e.

— A czy doświadczasz bólu?

— N i e! B ó l j e s t u c z u c i e m w y ł ą c z n i e c i e l e s n e m.

— Jakiż jest cel waszego bytu?

— D o s k o n a l e n i e s i e b i e i d r u g i c h.

Rozmowa przybierała, jak widzimy, charakter prywatny, ale dlatego właśnie nie przypadała do smaku Francuzowi.

— Wy, Anglicy — zauważył on — toniecie, przy każdej sposobności, w pustej filozofii, podczas gdy tu chodzi o zrobienie nowego, realnego odkrycia, o wywołanie i zużytkowanie nowych sił.

— B y w a j ą s i ł y z g u b n e — rzekł głucho głos.

— Siły niebezpieczne?

— T a k, s i ł y n i e b e z p i e c z n e d l a d u c h a i d l a c i a ł a.

Głos brzmiał coraz ciszej i mniej wyraźnie, wreszcie rozpłynął się w nieuchwytnych dla ucha szmerach.

Próbowaliśmy zadawać mu nowe pytania, ale nie otrzymywaliśmy już na nie odpowiedzi. Widocznie czar prysnął i harmonia nasza z duchem została zamącona zbyt praktycznemi żądaniami Francuza. Słychać tylko było głęboki, ale zupełnie równy oddech pani Delamare, która pozostawała wciąż w uśpieniu. Nad stołem unosiły się jeszcze przejrzyste obłoki żółto popielatej barwy.

Ciemność panująca w pokoju zdawała się pogłębiać z każdą chwilą; odczuliśmy raz jeszcze ten sam chłodny lęk, jakiego doznaliśmy już, przed uja-

wnieniem się wśród nas ducha. Nagle Francuz krzyknął głosem, w którym brzmiały rozdzierające dźwięki, świadczące o bezprzykładnem natężeniu jego nerwów:

— Czar działa! czar działa! — Patrzcie tylko, patrzcie!

Przezroczysta mgła, unosząca się dotąd nad stołem, usunęła się nagle i wirować zaczęła miękko, dookoła pokoju. Wreszcie skupiła się w najodleglejszym ciemnym kącie i zaczęła się zgęszczać, tworząc jakby ruchome, błyszczące jądro. Tworzyła się tam w kącie jakaś dziwaczna postać, przechodząc od żółto-popielatej do ciemno-purpurowej barwy. — Potem całość osnuwać się zaczęła czemś ciemnem i nieprzezroczystem, zlewając się prawie że zupełnie z czarnym mrokiem panującym w pokoju.

— Znikła już — powiedział ktoś.

Nie, nie. Tam coś jest, tam się coś rusza.

Spojrzeliśmy w ciemny kąt, z którego patrzyła na nas para płomienistych, błyszczących oczu. Nie dość na tem. Ozwały się nagle jakieś dziwne głosy, podobne do rżenia, parskania, prychania. Jakieś twarde stopy stukały o posadzkę.

— Co to jest? co się stało? Panie Lepel, coś pan zrobił?

— Nic, nic — nie bójcie się. Zmateryalizowałem widmo.

Głos Francuza brzmiał tryumfem i dziką radością.

— Wielkie nieba! dość tego. Tam w kącie coś stoi, wspina się, skacze.

— To zwierzę, potworne zwierzę, stoi tuż przy mojem krześle! — krzyknął Deakou zdławionym głosem. — Powiedziałbym że to on, właśnie on.

— Jaki on?

— Jednorożec... biały koń z wielkim rogiem nad czołem. Uciekajmy! ach, uciekajmy!

To, co potem nastąpiło, nie da się opisać. Tłoczyliśmy się w popłochu, nie mogąc dotrzeć do drzwi, podczas gdy jakaś ciemna, potworna postać przelatywała z jednego końca pokoju w drugi, potrącając wszystko, łamiąc, druzgocąc uderzeniami ciężkich kopyt.

— Swiatła! Swiatła! — wołaliśmy rozpaczliwie.

— Zapałki! Gdzie są zapałki?!

Nikt ich nie miał, nikt nie mógł ich odnaleźć.

— Panie Lepel! to pańskie dzieło, powstrzymaj go pan, okiełznaj potwora, którego wywołałeś.

— Nie mogę! — jęczał Francuz. — Rozpętane siły, siły zgubne, o których mówił duch.

Wreszcie udało mi się położyć rękę na klamce. Rogaty potwór przeleciał obok mnie galopem, poczem uderzył ze stukiem głową o przeciwległą ścianę. Przekręciłem klamkę, drzwi otworzyły się, wszyscy co do jednego wypadliśmy z pracowni, zatrzaskując za sobą ciężkie dębowe podwoje, przez któte dochodził nas piekielny hałas, sprawiany przez szalejące w zamknięciu zwierzę.

Dopiero, gdyśmy się znaleźli wszyscy w jadalnym pokoju, przypomnieliśmy sobie panią Delamare, która została sama w pracowni z rozszalałym potworem.

— Musimy ją ratować! — zawołaliśmy jednogłośnie.

Zwierz tymczasem tłukł z furyą w ścianę, aż zrobił w niej rodzaj wyłomu, przez który, ku większej jeszcze naszej grozie, wysunął się błyszczący ostry róg.

— Przejdzie i tak, utoruje sobie drogę. Idźmy po panią Delamare!

I wszyscy razem wpadliśmy do pracowni, gdzie medyum leżało jeszcze w śnie kataleptycznym, zsunąwszy się na podłogę, ze zdruzgotanego na poły stołu. Wynieśliśmy ją, nie oglądając się po za siebie i złożyliśmy bezprzytomną na sofie. Nie zaniedbaliśmy oczywiście zamknąć za sobą drzwi od pracowni, i wtedy dopiero opuściło nas podniecenie, które podtrzymywało nas dotąd. Celamare, człowiek silny i krzepki, jak dąb, zatoczył się na pół omdlały na dywanie. Harwey Deakou blady był jak trup, a ciałem jego wstrząsały konwulsyjne drgawki. Francuz, któremu przypisywaliśmy wywołanie całego zajścia, szlochał jak dziecko, nie starając się wcale ukrywać swej słabości.

Z pracowni dochodził nas jeszcze przez krótki czas głuchy tentent, potem usłyszeliśmy jakby trzask wyłamywanych drzwi i tentent oddalił się i zmilkł. Wtedy Harwey zerwał się z miejsca, wołając:

— Na Boga! wypadł na korytarz, poza którym znajdują się pokoje żony mej i dzieci. Zastrzelę go, choćby był dyabłem samym. I wypadł jak szalony, przebiegając przez pustą już zupełnie i cichą pracownię... Pospieszyliśmy wszyscy za nim, pomimo nawoływań Francuza, który upewniał nas, że czar przestał już działać i potwór zniknie za chwilę, sam przez się.

Istotnie, gdyśmy wpadli wraz z Harwayem do saloniku jego żony, nie dostrzegliśmy już ani śladu strasznego zjawiska, któreśmy ścigali. A jednak żona Harweya leżała bez czucia na podłodze, a poobalane sprzęty, przewrócona choinka i panujący dokoła nieład, świadczyły o niszczącem jak huragan przejściu potwora. Tuż obok dzieci spały spokojnie w łóżeczkach, jak gdyby one tylko nie podlegały wpływowi piekielnego żywiołu, który rozpętaliśmy nie baczne.

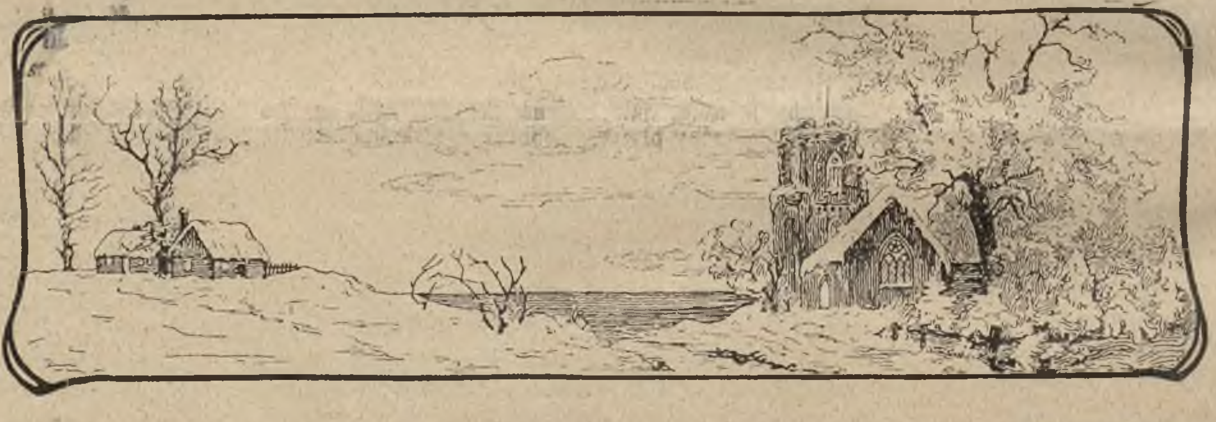
Ugasiliśmy ogień, wszczynający się już od paru niezgaszonych świeczek i przywróciliśmy do przytomności obie panie. Podczas gdy inni krzątali się około nich, ja powróciłem raz jeszcze do pracowni, w której panował już teraz zupełny spokój. A jednak przysiągłbym, żem ujrzał znów w kącie lekkie przejrzyste opary, tylko że zamiast zgęszczać się, stawały się one coraz lżejsze i rzadsze, aż rozpłynęły się zupełnie.

— Bogu dzięki — rzekł stojący za mną Francuz — nikt nie ucierpiał, prócz paru sprzętów i wyłamanych drzwi. My zaś zrobiliśmy doświadczenie, jakiego nikt przed nami nie dokonał.

— Co do mnie, upewniam panów, że podobna próba nigdy się już w moim domu nie powtórzy — odrzekł na to stanowczym tonem Harwey Deakou.

Taką była ta pamiętna noc wigilijna, którą przypłaciliśmy wszyscy dłuższym lub krótszym rozstrojem nerwowym.

KONIEC.



Teatr artystyczny.

Teatr, który jest nie tylko miejscem rozrywki, ale i przybytkiem sztuki, kształcącym smak artystyczny szerokiego ogółu, stał się tym kulturalnym czynnikiem, bez którego nie mogą się obejść współczesne społeczeństwa... Ze sceny przemawiają żywem słowem dramatyczne utwory literatury tak swojskiej, jak i obcej, które w ten sposób przenikają do mas i przyczyniają się do podniesienia ich estetycznego poziomu. Lecz niestety, stały teatr, zwłaszcza dobry, jest dotychczas zbytkiem, na który mogą sobie pozwolić tylko większe miasta. W ubogiej Galicyi wszystkie miasta poza Krakowem i Lwowem — musiały się zadawalniać przygodnemi przedstawieniami przygodnie tworzonych trup scenicznych. Dlatego należy powitać z uznaniem jako niezmiernie dodatni fakt w naszych stosunkach kulturalno-artystycznych powstanie stałej wędrownej drużyny artystycznej, która pod nazwą Teatru artystycznego od kilku miesięcy objeżdża większe miasta Galicyi, zbierając wszędzie należne objawy uznania. Teatr ten, na czele którego stoi znany krytyk i literat p. Dante Baranowski, prowadzony wzorowo i obejmujący repertuar poważny, zarówno z zakresu literatury swojskiej, jak i obcej, może i powinien spełnić te kulturalne zadania, które dotychczas leżały odłogiem na prowincyi.

Pod tym względem Teatr artystyczny w ciągu krótkiej swej działalności zaznaczył już dodatnio swe artystyczne usiłowania. Pod względem repertuaru niemal równocześnie ze sceną krakowską i lwowską wystawia najświeższe utwory sceniczne, a co do sił wystarczy zaznaczyć, iż pozyskał na szereg gościnnych występów tak znakomitą artystkę, jak Wanda Siemaszkowa.

Należy też spodziewać się, że Teatr artystyczny znajdzie w Galicyi należyte poparcie i stanie się istotnie dla naszych miast i miasteczek, pozbawionych własnych teatrów — stałym wędrownym przybytkiem sztuki...



Teatr artystyczny: Grupa artystów teatru artystycznego z dyrektorem i kierownikiem literackim p. Baranowskim (X) w pośrodku.

QUILLER COUCH.

SKAŁA UMARŁEGO

Adaptacya z angielskiego.

15)

6 października. Godzina czwarta po południu. W nocy, około wpół do drugiej spałem jeszcze, gdy pani Concanen zbudziła mnie, bo usłyszała szmer przy okienku. Buntownicy przekonani, że to jest jedyny punkt, w którym da się nas skutecznie zaatakować bez niebezpieczeństwa dla siebie samych, przymocowali do drągów długie noże i próbowali na oślep pomordować nas tą pospolitą kuchenną bronią. Tak jeszcze było ciemno, że celnie mierzyć nie mogłem, lecz bądź co bądź parę strzałów, danych szybko jeden po drugim, zmusiły zbrodniarzy do cofnięcia się, zniechęcając ich do dalszych usiłowań w tymże samym kierunku. Reszta nocy przeszłaby dość spokojnie, gdyby nie ciągły płacz dziecka, wzbudzający w sercach zarazem litość i niepokój. Dzień dzisiejszy upłynął także bez wypadku. Kiedy niekiedy tylko od pomostu na przodzie statku dolatywał mnie odgłos silnego kołatania w deski wzniesienia. Prawdopodobnie zamknięci pod pomostem marynarze pragnęli wyzwolić się z więzienia.

7 października. — Nie jesteśmy niepokojeni. Zdaje się, że buntownicy pragną nas ogłodzić albo uśpić wpojonem w nas fałszywem przekonaniem, że nie jesteśmy narażeni z ich strony na żadne niebezpieczeństwo, a następnie, uspokojonych, pozbawić życia jednym zamachem i niespodzianie. Ogłodzenia nie lękamy się dotąd, bo pudełko biszkoptów wystarczy na tydzień, a od biedy może nawet na dwa tygodnie, niespodziany zaś napad nie uda się im łatwo, jednc z nas bowiem czuwa nieustannie.

Zbrodniarze pili noc całą. Od czasu do czasu słyszałem donośny głos Railtona, wrzeszczącego przeraźliwie, poczem Colliver śpiewał swoją pieśń piekielną:

> Wargi, kochance drogie, złośliwy ogryzł krab,
> Duszę zaś wyrwał mu z łona niemęski, podły strach.

Człowiek ten to istne wcielenie dyabła!

Mam bardzo mało czasu do pisania, bo co chwila baczyć muszę na każdy szmer, na każde podejrzane poruszenie nad głową lub na schodach i sprawdzać, czy buntownicy nie czyhają na nas przypadkiem w jakiś nowy, świeżo wymyślony sposób. Chciałbym wiedzieć, w jakim kierunku płyną i co zamierzają uczynić z nami, jeśli zabić nas nie zdołają?

8 października. — Ciężki dzień dla marynarzy być musi, o ile sądzę z rodzaju ruchu i miotań się okrętu. Przypuszczam jednak przytem, że przeważna część pozostałej załogi leży prawdopodobnie pijana. Trzeba będzie jak najspieszniej pomyśleć o sposobie pozbycia się zmarłych z kabiny, a nie śmiem mówić o tem z panią Concanen.

Nie mam słów na wyrażenie mego uwielbienia dla tej młodej i wątłej kobiety. Musiałem ją dziś uczyć obchodzenia się ze strzelbą. Sądzę, że w danym razie walczyć będzie do ostatniego tchu. Jej dziecko, biedne niewiniątko, zdaje się mocno chore. A jednak, o ile szczęśliwsze jest od nas, nie rozumie bowiem i rozumieć nie może całej ohydy i grozy naszego położenia!

9 października. Wpół do czwartej po południu. Dręczony niepokojem i bezczynnością wyszedłem dziś znowu na zwiady. Rogerson trzymał w obu dłoniach rękojeść steru, a Railton, stojący obok, rozmawiał z nim, gestykulując żwawo. Miał butelkę w ręku. Zdawało mi się, że jest bardzo pijany. W pierwszej chwili nie mogłem dostrzedz Collivera, lecz mimowolnie podniósłszy oczy w górę, między żagle i liny, ujrzałem wstrząsający widok. Na tak zwanem bocianiem gnieździe przy wielkim maszcie siedział jakiś człowiek. Wytężyłem wzrok i poznałem go. Był to podmajstrzy okrętowy, Kelly, który zdawał się drzemać. Widocznie tam wysoko znalazł schronienie, przed złośliwą natarczywością kolegów. Tuż pod nim piął się po sznurowej drabince w górę Colliver, trzymając błyszczący nóż w zębach. Już nie dalej znajdował się od śpiącego, jak o jakie dwa metry. Strzeliłem do niego i chybiłem, lecz zbudziłem Kelly'ego, który powstał, wyprostował się i gwałtownem szarpnięciem wyrwał z pośród lin blok żelazny, którym mógł się bronić. W tejże chwili Rogerson i Railton rzucili się na mnie.

Cofając się niezbyt spiesznie, zsuwałem się ostrożnie po schodach. Nagle pośliznęła mi się noga i niezależnym od woli mojej, nerwowym ruchem dałem ognia z fuzyi, silnie trzymanej w dłoniach. Strzał musiał ugodzić Rogersona, który mnie doganiał. Na raz runęliśmy obydwaj. Ja pod nim, on na mnie, a chociaż raniony i niezupełnie przytomny, dźgał mnie boleśnie ostrzem z za pasa wydobytego noża. W tej chwili usłyszałem drugi strzał, a równocześnie uścisk obejmującego mnie w pół ramienia Rogersona rozluźnił się zupełnie. On zaś drgnął całem ciałem i wyciągnął się na schodach jak długi, znieruchomiony nagle. Pędzący za nami Railton, zaczepiwszy nogą o trupa, przewrócił się i chociaż starał się powstać, nie mógł zerwać się dość szybko. Wszystko to pozwoliło mi wbiedz w drzwi, w których stała pani Concanen z dymiącą strzelbą w ręku. Lecz, niestety, zanim zdołaliśmy je zamknąć, Colliver, który w ciągu naszej bójki zdążył wpaść na szczyt schodów, dał ognia z rewolweru kapitana Holdinga. Pani Concanen padła na wznak do kajuty. Zamknąłem drzwi i spojrzałem na nią. Biedna kobieta leżała na podłodze, z krwawiącą się raną w piersi, tuż nad samem sercem. Oczami wskazała mi dziecko, jakby polecając je mojej opiece i skonała bez jęku.

Żaden z poetów chyba nie jest w możności stworzyć wyobraźnią tragiczniejszej sceny, jak ta, na którą bezradny patrzeć musiałem.

10 października. — Całą noc nie spałem, starając się uspokoić wciąż płaczące niemowlę i równocześnie czuwając, by bandyci nie wtargnęli do mnie podstępem lub przebojem. Morze jest strasznie wzburzone. Trupy poległych toczą się po podłodze, rozbijając się to o jedną, to o drugą ścianę kabiny, albo o stojące w niej meble i sprzęty.

W południe usłyszałem bolesny, głęboki i przeciągły jęk, połączony z odgłosem spadającego ciała. Domyśliłem się, że biedny Kelly, wyczerpany z sił, zlecieć musiał z bocianiego gniazda na pokład i zabić się na miejscu... Upływa godzina, może dwie... i znowu z pod pomostu na przodzie statku dolatuje do moich uszu głucha wrzawa... Trwa dość długo, udręcza niezmiernie przykrem wrażeniem... Przypuszczam, że buntownicy zamkniętych tam marynarzy pomordować musieli, bo teraz zaległa cisza zupełna... okropne milczenie.

11 października. Godzina piąta wieczorem. — Niemowlę umiera. Potężna, wściekła, szalona burza miota okrętem bezustannie. Niema najmniejszej nadziei, by z taką, jak obecna załoga, dało się go uratować, choćby płynął w pobliżu bezskalnego lądu. Boże nas...

ROZDZIAŁ XII.

Co było napisane na klamrze złotej, oraz w jaki sposób zdjąłem klucz z belki.

Nie potrzebuję chyba omawiać wrażenia, jakie odczytanie dziennika sprawiło na nas. Czytaliśmy go nieustannie, prawie bez przerwy, z ciążącem na piersiach brzemieniem bólu i żalu, nie robiąc uwag wcale i nie komentując tekstu. Tylko kiedy niekiedy drżenie głosu wuja, albo mój przyspieszony oddech i łzy, spływające po naszych policzkach — zwłaszcza gdyśmy czytali ustępy odnoszące się do mojej matki, tak czule i gorąco ukochanej przez ojca — świadczyły o naszem głębokiem wzruszeniu.

Napisałem wyżej, żeśmy płakali. Tak, płakaliśmy obaj bardzo często. I jeden i drugi.

A jednak... Pomimo, że wysilałem się, by choć chwilowo zapanować nad bólem, od którego kurczyło się i drętwiało dziecinne serce w łonie, czułem przecież, że silniejsza stokroć od żalu panuje w niem obecnie zimna nienawiść, potęgująca się z każdą minutą. W rzeczy samej, gdy o tem myślę, przyznaję, że do obudzenia jej było powodów niemało. Ręka, która kreśliła odczytane przez nas w pamiętniku wyrazy, leżała martwa, chłodna i nieruchoma; uszy, do których ojciec zwracał swe opowiadanie, ogłuchły na zawsze; tyle pięknych nadziei rozwiała burza nagłych, zbrodnią wywołanych zgonów... i oto na jednem łożu spoczęły zwłoki dwojga zmarłych, męża i żony, moich rodziców ukochanych. Czyż szereg tych tragicznych zdarzeń nie mógł i nie powinien był wywołać nienawiści?!... Więc nienawiść, bezsilna nienawiść owładnęła moją duszą... Słowem, gdy wuj Loveday przerwał nagle lekturę, bo przewróciwszy kartkę, nie znalazł już na odwrotnej stronie dalszego ciągu dziennika, jedynem uczuciem, które z potężną mocą w sercu mojem rozgorzało — była tylko nienawiść.

Raz jeden przerwaliśmy czytanie, prosząc o zapalenie i przyniesienie lampy. Pani Busvargus przyniosła ją i odeszła zaraz. Józef Roscorla nie wrócił jeszcze z Polkimbra. Pozostawaliśmy zatem ciągle sami, przybici, zgnębieni grozą strasznej relacyi.

Gdy wujaszek skończył czytać, wyciągnął machinalnie ręce, aby pochwycić leżącą obok siebie fajkę. Napełnił ją tytoniem i wzniósł w górę oczy. Na jego poczciwej twarzy połyskiwały ślady łez i łzy zwilżały jego powieki.

— Zabity! — mruknął żałośnie. — Powinienem raczej powiedzieć: zamordowany!

— Tak — odezwałem się jak echo — zamordowany!

— Lecz pochwycimy nędznika — ciągnął dalej, uderzywszy w stół pięścią z niezwykłą energią. — Pochwycimy, pomimo całej jego zręczności! Wszakże pochwycimy, nieprawdaż, mały?

— Jeszcze nie — odparłem — jest już bowiem obecnie pewno za daleko. Lecz pochwycić go musimy i pochwycimy niezawodnie!

Wuj spojrzał na mnie zdziwionym wzrokiem, następnie przyglądał mi się chwilkę uważnie, w końcu powtórzył za mną:

— Tak, pochwycimy go niezawodnie... i to żywego! Joe Roscorla musiał już tam narobić gwałtu, a zbrodniarz, w tak krótkim czasie, nie zdołał prawdopodobnie ujść zbyt wielkiego kawału drogi. I pomyśleć sobie — mówił dalej, wyciągając ręce ku niebu — i pomyśleć sobie, że przemawiałem do tego łotra wczoraj rano, jak do jakiejś nieszczęśliwej a sympatycznej ofiary wzburzonego morza!

Nie wątpiłem, że wujaszek w tej chwili szczerze żałował, że wyekspensował się napróżno z wielu świetnych, krasomówczych zwrotów, bo przyznać trzeba, że w rzeczy samej rzadko kiedy udawało mu się przemawiać tak pięknie, jak owego smutnego pamięci poranka.

— Perły, istne perły, rzucone przed wieprza. Wieprza, powiedziałem? Nie, przed węża, jeśli nie jest ubliżeniem nawet dla węża, porównywać go z takim Colliverem. Ale co mówiłeś do mnie, Kasprze?

— Musimy go pochwycić!

— Kasprze, kochany chłopcze — rzekł wuj, spoglądając znowu na mnie ze zdziwieniem — czy nie byłoby dobrze, gdybyś położył się do łóżka? Powinienbyś spróbować przespać się trochę. Hę! co myślisz o tem?

— Myślę — odpowiedziałem — że nie obejrzeliśmy jeszcze klamry.

— Drogi chłopcze, masz słuszność. Masz znowu słuszność! Zobaczmy!

Przedmiot metalowy, ujęty przez wuja w ręce, był połową klamry od paska, połową z kółkiem do zaczepiania w niem haczyka, brakło zaś drugiej połowy z haczykiem. Pod światłem lampy błysnęła ona jaskrawo, w chwili, gdy wuj chustką oczyszczał jej powierzchnię i poprawiwszy okulary na nosie, pochylił się nad nią.

Po upływie minuty podniósł głowę i rzekł:

— Nic a nic nie rozumiem! Przeczytać to bardzo łatwo, lecz doszukać się w tem jakiegoś sensu ani rusz! Chodź-no tu i zobacz sam!

Brzegi klamry rytowane były wokoło wytworną ornamentacyą o motywach kwiatowych i zwierzęcych. Pod spodem, w środku, znacznie niezręczniejsza ręka wyryła napis, rzeczywiście łatwy do przeczytania, lecz pozbawiony wszelkiego znaczenia. Wielkie litery łacińskie, przeplecione tu i owdzie cyframi arabskiemi, były jak poniżej ustawione w pięć wierszy, czyli raczej w pięć rzędów.

KSIĘŻYCA. KONIEC. POŁUDNIOWEGO.
P. P. Z. 22. STÓP.
KU PÓŁNOCY.
GŁĘBOKOSCI. W PUNKCIE.
ODPŁYWU. 1 GODZINA $^1/_2$.

Ze dwanaście razy przeczytałem powyższe wyrazy, a nie mogąc ich sobie wytłómaczyć, spojrzałem na wuja żałośnie.

— Kasprze — rzekł on — według mego przekonania, wyrazy te nie posiadają żadnego znaczenia.

— I ja tak sądzę, wujaszku.

— Lecz posłuchaj! Widocznie mamy tylko połowę klamry, odkrytej przez twego ojca. To jasne, jak słońce! Otóż teraz należy zadać sobie pytanie: co się stało z drugą połową, z tą, w której był haczyk do założenia za to oto kółko? Przypomnij sobie, czy nic więcej nie oddał ci Railton?

— Nic więcej.

— Jesteś tego bewzględnie pewny?

— Bezwzględnie, wujaszku.

— Czy nie pozostawiłeś drugiej połowy w oborze?

— Nie. Przed ukryciem pakietu, obejrzałem go dokładnie i zauważyłem od razu, że był w nim tylko ten jeden kawałek metalowy.

— Dobrze. Ponieważ, jak wiemy, połowa zaginęła, nasuwa się teraz drugie pytanie: co się z nią stało?

Mimowolnie wzruszyłem ramionami.

— Na to pytanie — powiedział wuj Loveday, pochylając się nad stołem — są dwie możliwe odpowiedzi. Albo znajduje się na dnie morza, wraz z całą resztą ładunku „Fortuny“, albo posiada ją Colliver.

— A może jest u stóp Skały Umarłego, w kieszeni Johna Railtona — poddałem.

— Może, mój chłopcze, lecz poruszasz obecnie zupełnie odrębną kwestyę, nie posiadającą dla mnie w tej chwili żadnej doniosłości. Bo jeśli połowa klamry leży na dnie morskiem, czy to w kieszeni Railtona, czy gdzieindziej, to tajemnica dobrze jest zabezpieczona. Wprawdzie sądzę, że również za zabezpieczoną uważać ją należy, jeśli klamra znajduje się w rękach Collivera; chyba, że on widział połowę klamry, którą posiadamy, oraz, że widząc ją, miał czas wyrazy wyrytego na niej napisu wyuczyć się na pamięć. W każdym razie, z przykrością przychodzi mi powiedzieć... a do tego właśnie zmierzałem... i nam wymknęła się tajemnica. Nie znamy jej, mój drogi!

— To rzecz jeszcze niepewna, kochany wujaszku — odparłem.

— Przepraszam cię, Kasprze, rzecz zupełnie pewna. Zgadzasz się sam przecie, że w napisie, który odczytaliśmy, niema sensu. Wszak zgoda? Lecz nadto, pragnę, żebyś sobie przypomniał — ciągnął dalej wuj Loveday, przewracając powtórnie kartki w dzienniku mego ojca — co Ezechiel na tych oto stronnicach napisał wyraźnie. Napis rozciągał się na klamrze z jednego jej końca w drugi, był łatwy do odczytania i zawierał szczegółową informacyę, odnoszącą się do poszukiwań, nie wskazywał jednakże miejsca, w którem odbyć się mają te poszukiwania.

— Bardzo dobrze — odpowiedziałem — lecz właśnie powinniśmy odkryć to miejsce.

— Zgoda. Ale jak?

— Zapomocą klucza, wskazanego wyraźnie i z naciskiem przez testament, a również i przez pergamin.

— Brawo, chłopcze! — zawołał wujaszek. — Widzę teraz na pewno, że masz głowę nie od parady!

— Wuju kochany — rzekłem, powstając z krzesła — tajemnica Wielkiego Rubinu wypisaną jest na kluczu mego dziadka. Klucz miał być zdjęty z belki, gdy członek naszej rodziny, który przedsięweźmie odkrycie tajemnicy, powróci z wyprawy i przekroczy próg starego domu w Lantrig. Wujaszku! ojciec mój próg domu w Lantrig przekroczył...

— Nie dotykając go nogami... mój chłopcze. Biedny Ezechiel!

— Nie dotykając go nogami — powtórzyłem rozgorączkowany i drżący od wzruszenia — tak, bo go zabito, bo go zamordowano! Pomimo to powrócił... wrócił i znalazł mateczkę nieżywą... powrócił jednakże! Wuju drogi, jestem jedynym teraz Trenowethem, jaki tu w Lantrig pozostał... pomyśl tylko... jedynym, jaki pozostał...

— Biedny Ezechiel! Biedna Margery!

— A całą sukcesyą, jaka mi się dostała w udziale, to nóż, którym ojca zamordowano i ów klucz na belce w starym domu. Nóż schowam, jako drogą pamiątkę, przypominającą mi, że mordercy poszukiwać powinienem, a klucz zdejmę zaraz...

Wysunąłem krzesełko na środek pokoju, pod wielką belkę w belkowanym suficie.

Gdy dziad mój po raz ostatni powrócił z dalekiej morskiej podróży, powiesił na niej ów klucz z tajemnicą, wydając najsurowsze rozporządzenie, by go nikt nie ruszał. Wisiał zatem, pokryty grubą warstwą pajęczyny. Nawet zmiotka mojej biednej matki, tak czynnie uwijająca się wszędzie po całym domu, nie dotknęła nigdy przedmiotu, poczytywanego za relikwię rodzinną. Często, gdyśmy oboje z mateczką spędzali w samotności długie wieczory zimowe, opowiadała mi całą jego historyę: jak przekleństwo Amosa Trenoweth spaść miało na tego, ktoby się ośmielił dotknąć go lub poruszyć, oraz jak każdy dzień, zbliżający powrót mego ojca, zapowiadał śmierć lub rozproszenie gromadzie pająków, oplatających gęstą siecią klucz, wiszący na belce.

Stanąłem na krześle.

Wisiał on tam, zaledwie dostrzedz się dający pod pajęczyną. Wybiła dlań godzina zdjęcia!

W chwili, gdy wyciągnąłem po niego rękę, z pół tuzina czarnych owadów, dotąd spokojnie łażących po belce, ukryło się z niezmierną szybkością po ciemnych i brudnych dziurach, niegdyś w niej widocznie wyżłobionych dłutem cieśli. Gdy go dotknąłem, olbrzymi pająk, jakby zdziwiony moją śmiałością, podniósł haczykowate łapki w górę, poczem zawahał się i skurczył je pod sobą, wkońcu przerażony pomknął chyżo, szukając w jednej ze szczelin bezpiecznego schronienia.

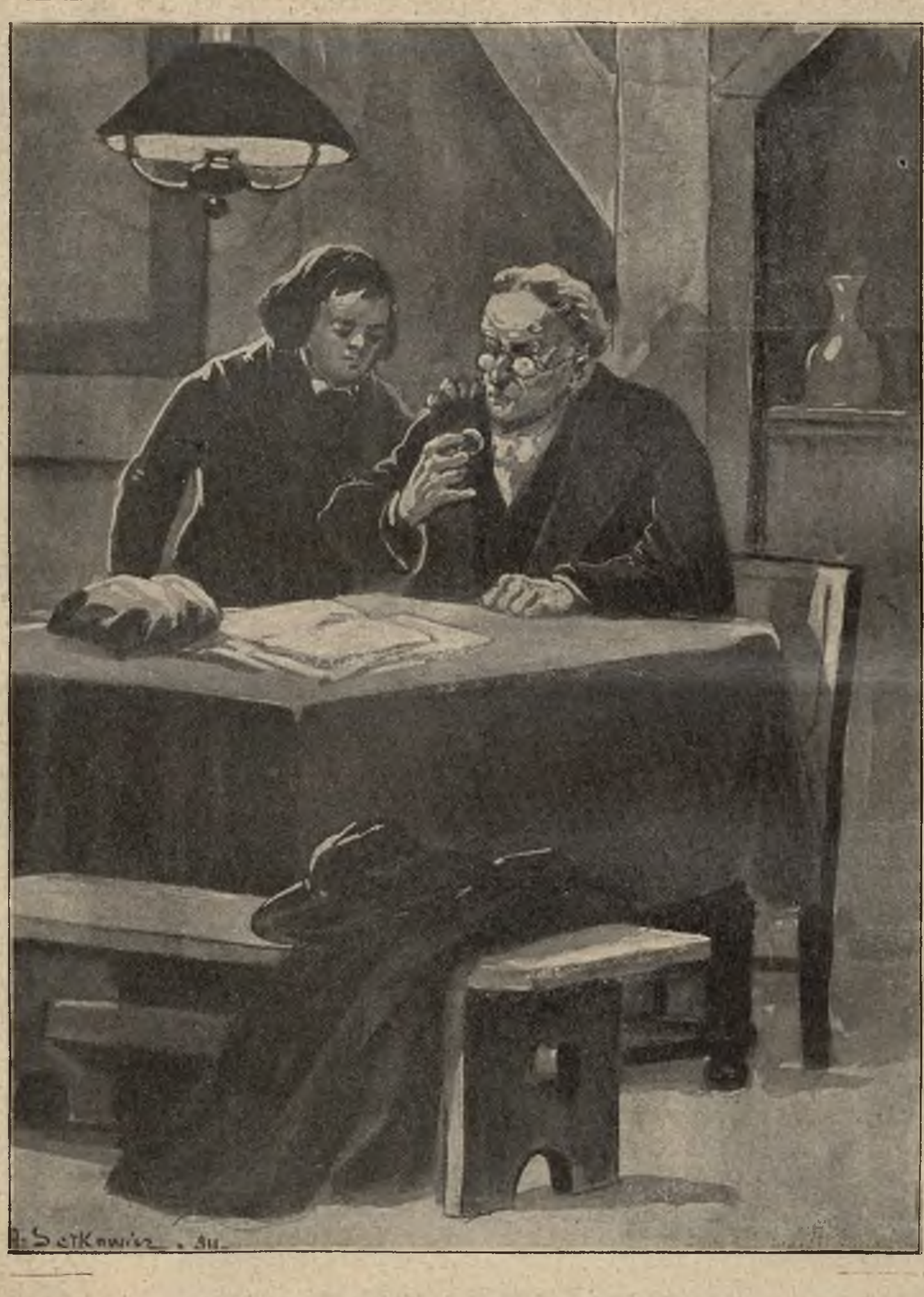
Więc to był ów klucz, odkryć mi mający tajemnicę skarbu!

Trzęsąc się cały, ściskałem nareszcie w ręku żelazny talizman, którego nikt dotąd nie śmiał dotknąć ani poruszyć.

Zeskoczyłem z krzesełka.

Nie namyślając się długo, całą dłonią starłem z niego pajęczynę.

Powierzchnię klucza pokrywała rdza, pomimo to jednakże dostrzegłem wijący się po nim napis. Pochwyconą z kredensu ścierką, przy świetle lampy, polerowałem go i ogładzałem do czysta.



...i poprawiwszy okulary na nosie, pochylił się nad nią.

Tak, był na nim napis, równie na pierścieniu, stanowiącym rączkę, jak na samym kluczu.

Gdy, po dość długiej pracy, dokonanej przezemnie z gorączkowym pośpiechem, napis zarysował się wyraźnie przed wzrokiem, owładnęło sercem mojem naprzód gorzkie zniechęcenie, potem wściekły gniew, zamieniający w żółć krew, krążącą w żyłach, i napełniający mózg bólem, oburzeniem, rozpaczą i zgryzotą.

Bo oto, co na nim wyczytałem.

Na pierścieniu wyryte były wielkie litery inicyału *A. T.* wraz z datą w cyfrach łacińskich: *M. D. C. C. C. X. II.* Wzdłuż zaś samego klucza od pierścienia do zazębień — prawdopodobnie odpowiadających wewnętrznej konstrukcyi zamka, do którego mógł być zrobiony — po obu stronach, wypisane były starczą, drżącą ręką, następujące słowa:

„Dom twój zbudowany na piasku,
A nadzieje twoje leżą przy trupie“.

Nic więcej!

Zatem owe dwa krótkie zdania były jedynym rezultatem daremnych poszukiwań, u kresu których ojciec mój znalazł śmierć.

„Dom twój zbudowany na piasku“... Wali się już teraz, zdruzgotany przekleństwem Amosa Trenoweth.

„Nadzieje twoje leżą przy trupie“... Ten, który dla nas uosabiał wszelką nadzieję, spoczywa tam, na piętrze... trup, nędzny trup!

Czy szyderstwo mogło być bardziej dyabelskiem?

W chwili, gdy okrucieństwo powyższych wyrazów uderzyło w moją biedną głowę jak obuchem, zdało mi się, że słyszę znowu ów przeraźliwy krzyk, który w noc straszną dla mnie i dla matki, doleciał uszu naszych od morza. Lecz teraz, równocześnie z owym krzykiem, rozlegał się okropny, ohydny śmiech, jakby w pieczarach piekieł przebywająca dusza Amosa Trenoweth radowała się złowrogim żartem, który wywołał męczeński zgon jego syna i tegoż syna żony obłęd i śmierć.

Blady, drżący, na wskroś przejęty wściekłą rozpaczą, odwróciłem się twarzą do komina i w gorejące na nim szczapy drzewa, rzuciłem klucz przeklęty.

TOM II.

Odkrycie Wielkiego Rubinu.

ROZDZIAŁ I.

W jaki sposób Tomasz Loveday i ja ruszyliśmy w świat, aby gonić za Fortuną.

Nie wątpię, że łaskawy czytelnik pozwoli mi streścić dzieje czternastu lat następnych w możliwie najkrótszych wyrazach, pospiesznie omawiających główne wypadki z owej epoki mego życia, dalszy zaś ciąg szczegółowego opowiadania rozpocząć od chwili, gdy — po opuszczeniu rodzinnego Lantrig — przeniosłem się do Londynu.

Zwłoki ojca mojego i mojej matki pochowaliśmy w wspólnym grobie na cmentarzu w Polkimbra. Przypominam sobie, że tłum rybaków wziął udział w pogrzebie, a w chwili, gdy trumny z ciałami moich rodziców przysypywała świeżo rozkopana ziemia, na wielu twarzach dostrzedz można było łzy smutku i żalu, spływające po ogorzałych policzkach tych ludzi prostych, lecz dobrych i szczerze miłujących swych dawnych sąsiadów. Wszystko, co poza tem, odbija się w mojej pamięci tylko w niejasnych, mglistych zarysach.

Nie podobna było odszukać Collivera. Kapitan Merrydew poruszył — jak to mówią — niebo i ziemię, aby schwytać niecnego oszusta, lecz majtek Giorgio Rodofani, po ostatniem ukazaniu wstrętnego swego oblicza w oknie starego dworu, znikł jak widmo bez ciała. Za ujęcie go wyznaczono wysoką nagrodę. Napróżno! Wprawdzie mieszkańcy Polkimbra, nie bez wzruszenia dowiadywali się kilkakrotnie o aresztowaniu złoczyńcy, zawsze jednak po niejakimś czasie przekonywali się, że upragniona nowina była wieścią fałszywą.

Ponieważ przytrzymanie mordercy nie przychodziło do skutku, więc wuj Loveday — z wrodzoną i właściwą sobie ostrożnością, milczał sam i mnie milczeć kazał o wszystkiem, co wyczytaliśmy w dzienniku ojca. O istnieniu tego dziennika, a tem bardziej o Wielkim Rubinie, nie wspomniał nikomu. Pomimo to nie pozostał bezczynny. Po długich naradach z ciotką Elżbietą, udał się do Plymuth dla poinformowania się, co się dzieje z Lucyą Railton i jej córką. Lecz i w tym kierunku nie osiągnął sukcesu. Odszukał wprawdzie oberżę pod godłem „Witajcie nam“, lecz już wynajętą przez innego dzierżawcę, który — również, jak i właściciel kamienicy — nie wiedział nic a nic o Railtonach, prócz tego, że po zapłaceniu ostatniej raty dzierżawnej wynieśli się z domostwa mniej więcej dwa miesiące temu, czyli w czasie rozbicia się okrętu „Fortuna“ na naszych brzegach.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Bajram w Konstantynopolu.

Najuroczystszemi świętami muzułmańskiemi są uroczystości Bajramu, tak zwany mały Bairam, przypadający na koniec miesiąca postu Ramazan i wielki, obchodzony w siedmdziesiąt dni później. Są to bu-



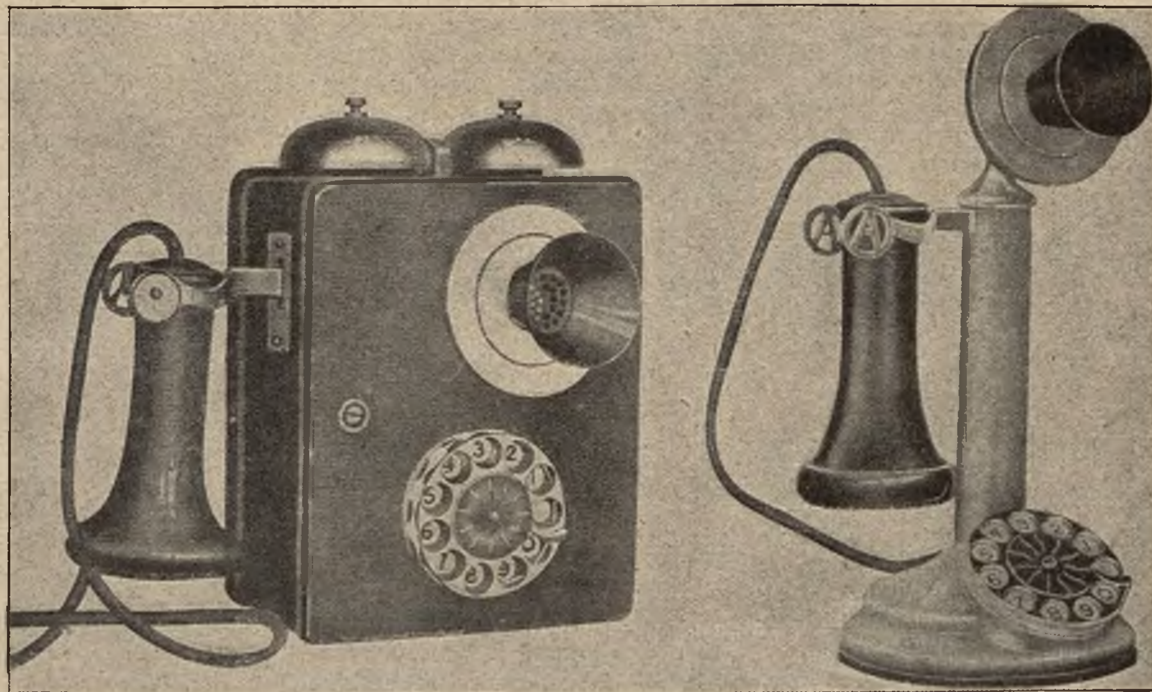
Tryumfy Zbyszka II.: Władysław Cyganiewicz (junior) z honorowym medalem, który ofiarowała mu ludność Bukaresztu.

laszcze święta, przypominające nasz karnawał. Każdy, kto żyje, raduje się, nawet żebracy zapominają o swej ciężkiej doli, gdyż pomiędzy nich rozdziela się mięso ofiarnych baranów, oddających w tych dniach setkami gardła pod nóż. Każdy ojciec rodziny ofiaruje w tym dniu barana, którego własnoręcznie zarzyna wobec wszystkich domowników, to samo dzieje się w świątyniach i instytucyach publicznych, z największą zaś pompą obchodzi się tę uroczystość w Konstantynopolu, gdzie sułtan, następca Mahometa, osobiście obowiązanym jest wziąć w niej u dział.

Bajram przypada na początek naszego grudnia, mały Bajram obchodzono tamże w d. 1 b. m. z ogromną okazałością.

Już wczesnym rankiem zebrały się przed meczetem sułtana Bajazeta II. tłumy publiczności, złożone z pobożnych muzułmanów i ciekawych chrześcijan, nie brakło między nimi Anglików i Amerykanów, którzy na ten czas umyślnie przyjeżdżają nad Bosfor, by przypatrzyć się obchodowi, urządzanemu z prawdziwie wschodnim przepychem.

Dookoła meczetu i wzdłuż drogi, którą ma przybyć sułtan ze swego pałacu, ustawiają się wojska



Ulepszenia telefoniczne w Londynie: Nowe aparaty automatyczne, ścienne i biurkowe, zaprowadzone obecnie w stolicy Anglii.

sułtańskie; dwór, dostojnicy i ciało dyplomatyczne oraz zaproszeni goście oczekują na kalifa przed bramą meczetu.

O oznaczonym czasie przybywa sułtan w otoczeniu swego dworu, odmawia publicznie przepisane na ten dzień modlitwy, a następnie wraca do swego pałacu w Dolma Bagtsche, dokąd też w uroczystym pochodzie pędzą barany, przeznaczone na ofiarę. Pierwszego z nich zarzyna sułtan własnoręcznie, reszta ginie z rąk dostojników dworskich.

Na ten cel wybiera się najwspanialsze okazy baraniego rodu, bez żadnej skazy i należycie utuczone. Przed ceremonią myją je i kąpią, złocą im rogi i kopyta, stroją wstęgami i kokardami.

Im dostojnik dworski milej widziany jest u sułtana, tem pokaźniejszy kawał ofiarnej pieczeni do staje mu się w udziale. Spożywa ją w skupieniu ducha, wielbiąc Allaha, który i o muzułmanach nie zapomniał, ale obdarzył ich także karnawałem.

Ulepszenia telefoniczne w Londynie.

Przynajmniej raz możemy się poszczycić, że grubo wyprzedziliśmy Londyn!

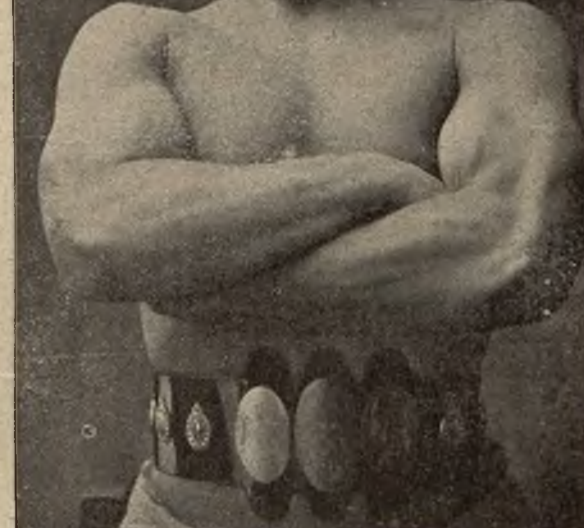
Tamtejsze pisma rozwodzą się szeroko i długo nad postępami w zakresie porozumiewania się telefonicznego, tak dziś ważnego w każdej dziedzinie codziennego życia i cieszą się, że przez zaprowadzenie automatycznego połączenia telefonicznego uniknie się różnych nieprzyjemności, na jakie narażeni byli abonenci, musząc przez centralę telefoniczną prosić o połączenie z żądanym numerem.

Ile to sprawiało każdemu telefonującemu przyjemności, wiemy niestety sami aż nadto dobrze, bo chyba niema pomiędzy nami nikogo, ktoby bodaj raz w tygodniu nie musiał się irytować przy telefonie, a trzeba było mieć się na baczności, by nie obrazić czasem zbyt nerwowej panienki, za co czekało zbrodniarza pociągnięcie do odpowiedzialności, a może nawet i kryminał.

Odetchnęliśmy też, gdy przed rokiem zaprowadzono u nas automaty telefoniczne. Złośliwi utrzymywali, że okazały się one niepraktycznymi we Wiedniu, wobec tego odstąpiono je Krakowowi, przekonano się jednak wkrótce, że tak nie jest. Rok mija, a one funkcyonują doskonale i co ważniejsze, nie narażają nas na ciągłą irytacyę, że jesteśmy połączeni z niewłaściwym numerem, lub że się wogóle o połączenie nie można doprosić, bo pa nie z telefonu rozmawiają właśnie... o nowym ka peluszu jednej z przyjaciółek!



Bajram w Konstantynopolu: Sułtan Mahomet V. odmawiający publicznie modlitwę przed meczetem.



Tryumfy Zbyszka II.: Władysław Cyganiewicz (junior) ubrany w pas szampioński Rumunii.

To przed rokiem odpadło u nas, obecnie zaś w Londynie, nic też dziwnego, że radują się z tego praktyczni Anglicy i w pismach swych podają illustracye, przedstawiające nowe ulepszone automaty telefoniczne. Różnią się one tem od naszych, iż są mniejsze i zgrabniejsze, a przy podstawie mają okrągłą tarczkę, zaopatrzoną liczbami od 0 do 9. Przez odpowiednie ustawienie wskazówki i pokręcenie korbką uzyskuje się połączenie z żądanym numerem i wszystko jest w porządku, choć w niezupełnym, gdyż sufrażystki uważają wprowadzenie automatów, za cios wymierzony przeciw płci niewieściej, by ją pozbawić jednego ze źródeł zarobku i grożą srogą zemstą!

Baczność więc, panowie Anglicy! Nie dajcie się!



Durbar: Namiot maharadży indyjskiego na polu koronacyjnem w Delhi.

Tryumfy Zbyszka II.

Niezwyciężony na obu półkulach świata głośny atleta polski Zbyszko Cyganiewicz znalazł wreszcie groźnego współzawodnika w osobie... własnego brata p. Władysława Cyganiewicza. Nie przyszło wprawdzie pomiędzy nimi do rozstrzygającej walki i zapewne nie przyjdzie ze względu na... harmonię rodzinną, ale p. Cyganiewicz junior — który dopiero niedawno wystąpił w szranki bojowe publicznych zapasów — odrazu okrył się laurami „niezwyciężonego" i zdobył tytuł... Zbyszka II. Jako tryumfator wrócił z ostatnich międzynarodowych zapasów atletycznych w Bukareszcie, w których wzięli udział najwybitniejsi zapaśnicy świata. Zwyciężył tam wszystkich i zdobył pierwszą nagrodę, złoty pas szampioński Rumunii. Prócz tego otrzymał honorowy medal, ofiarowany przez ludność Bukaresztu.

Opuściwszy Rumunię, Zbyszko Cyganiewicz II. wstąpił do Czerniowiec na Bukowinie i tam w dniu 13 b. m. w sali Domu polskiego, zapełnionej szczelnie publicznością, stanął do walki z szampionem Rosyi, Dołgowem, którego w ciągu 46 minut pokonał.

W czasie walki można było skonstatować, że Cyganiewicz po zdobyciu szampionatu rumuńskiego walczy z większą swobodą i sprawnością. Wspaniałymi atakami i chwytami dorównywa niewątpliwie swemu bratu Zbyszkowi I., a przewyższa go znacznie swoją gibkością, zręcznością i znakomitem wykorzystaniem sytuacyi.

Publiczność czerniowiecka zgotowała polskiemu szampionowi entuzyastyczne przyjęcie.

Po ukończeniu zapasów wśród grzmotu oklasków wystąpili na scenę pp. dyrektor Trzciński, nadinżynier Walewski i Strzałkowski i ofiarowali Cyganiewiczowi wartościowy szczerozłoty medal od Polaków z Bukowiny.

Artystycznie przez p. Kunika wykonany medal ma po jednej stronie białego orła, otoczonego napisem „Sława!" i wieńcem, po drugiej zaś zawiera napis: „Polskiemu mocarzowi Władysławowi Cyganiewiczowi, Polacy na Bukowinie". Medal zakończony jest równie szczerozłotą koroną zygmuntowską.

Po uroczystem wręczeniu medalu, rozentuzyazmowana publiczność oczekiwała Zbyszka II. przed „Domem Polskim", gdzie urządzono zwycięzcy serdeczną owacyę. Wśród śpiewów i okrzyków na cześć Cyganiewicza odniesiono go na rękach aż do hotelu.

Dochód z przedstawienia przeznaczył p. Cyganiewicz w całości na polskie gimnazyum w Czerniowcach.

Nowy dramat polski.

Prawie jednocześnie w Warszawie i we Lwowie wystawiono z ogromnem powodzeniem nowy dramat Tadeusza Konczyńskiego p. t. „Straceńcy". Zapisany już zaszczytnie na kartach naszej literatury dramatycznej, młody autor — dał w „Straceńcach" nie skomplikowany pod względem sytua-

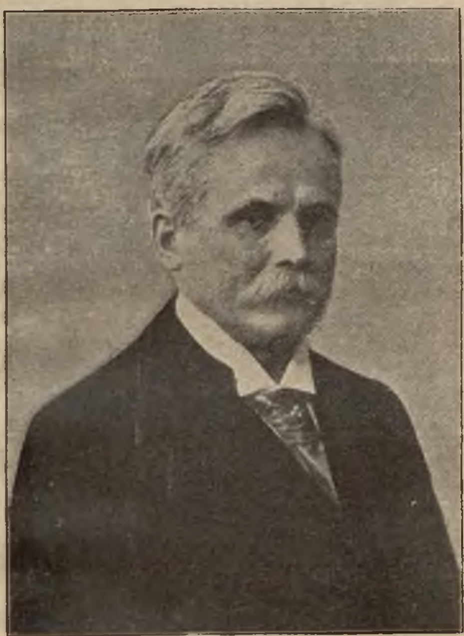


Nowy dramat polski: Tadeusz Konczyński, autor „Straceńców".



Durbar: Król angielski w uniformie dowódcy pułku lancierów swej indyjskiej gwardyi.

cyi, lecz zato wstrząsający psychologicznem napięciem dramat trzech dusz, wijących się w błędnem kole trójkąta małżeńskiego. W utworze tym, jak zaznaczają zgodnie recenzenci zarówno warszawscy, jak i lwowscy, autor, pomimo banalności tematu, potrafił prostemi środkami zagrać potężnie na uczuciach, a technikę sceniczną doprowadził do mistrzowstwa. Od samego początku do końca „Straceńcy“ szeregiem prostych w założeniu, lecz silnych scen, umiejętnie przytem stopniowanych pod względem napięcia dramatycznego — przykuwają uwagę widzów siłą psychologicznej plastyki i życiowego realizmu na scenie... Nie ulega też wątpliwości, że „Straceńcy“ są cennym nabytkiem dla polskiej sceny, jako utwór nie tylko napisany z talentem, ale wprost świetny pod względem scenicznym i dlatego mogący liczyć na stałe powodzenie.



Laureaci Nobla: Prof. Wilhelm Wien z Würtzburga, nagrodzony za odkrycia w dziedzinie fizyki.

Durbar.

O bogactwie książąt indyjskich krążą w Europie legendy już od więcej jak 2000 lat. Nabab indyjski jest dla dzisiejszego Europejczyka więcej niż Rotszyldem, bo jest jakąś zaczarowaną istotą, obsypaną dyamentami i złotem, które hojnie rodzi święta ziemia nad Gangesem i jest równocześnie przedstawicielem tej przebogatej cywilizacyi hinduskiej, która coraz bardziej ustępuje przed naporem cudzoziemców. Rotszyld zaś reprezentuje tylko groźną potęgę kapitału.

To bogactwo maharadżów indyjskich znalazło wspaniały wyraz w „durbarze“, jaki zaczął się 12 bm. na równinie pod nową stolicą Indyi przedgangesowych Delhi. Durbar oznacza przedstawienie się nowego cesarza Indyi, (którym jest każdy król angielski), książętom, władcom i wojsku indyjskiemu, tudzież złożenie hołdu książąt, władz i wojska nowemu monarsze. Zastępuje on obrzęd koronacyjny, którego Hindusi nie znają.



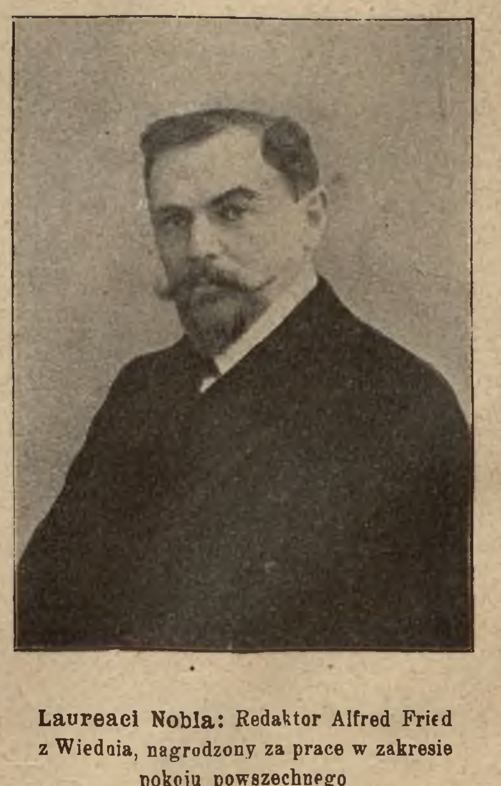
Durbar: Wieże przy wejściu na plac uroczystości „durbaru“.

Na wielkich błoniach obok Delhi jakby za dotknięciem różdżki czarodziejskiej wyrosło olbrzymie miasto namiotów, wzniesionych dla książąt i uczestników uroczystości. Maharadżowie indyjscy przybyli ze słoniami, końmi, automobilami, z dworem barwnym i bogatym, by powitać jak najgodniej cesarza. Przepych ich namiotów przechodzi fantazyę Europejczyka. Wobec tego bogactwa można naprawdę uwierzyć opowiadaniu staroindyjskiej epopei (Mahabharata), że ulice Delhi były niegdyś wysadzane złotem, a pałace „dzieci słońca“ lśniły od drogich kamieni.

Rozpoczął się hołd. Para królewska w purpurowych płaszczach, których końce podtrzymywali synowie udzielnych książąt, zajęła miejsce na podwójnym tronie pod złotym baldachimem. Około 100 000 wojska ustawiło się na rozległej przestrzeni, a drugie 100.000 krajowców przypatrywało się uroczystości. Wicekról Indyi, lord Hardinge, powitał nowego cesarza krótką przemową. Orkiestry zaintonowały hymn „Boże zbaw króla“. Król wygłosił mowę, poczem rozległy się dźwięki marsza koronacyj-



Durbar: Skrzydło głównego pawilonu przed ostatecznem wykończeniem.



Laureaci Nobla: Redaktor Alfred Fried z Wiednia, nagrodzony za prace w zakresie pokoju powszechnego

nego, a herold odczytał proklamacyę króla do ludności.

Teraz indyjscy maharadżowie złożyli hołd monarsze. W długim malowniczym pochodzie przesuwali się



Żółci republikanie: Delegaci zrewoltowanych prowincyi chińskich na naradzie w Szanghaju.

książęta, a za nimi dygnitarze i urzędnicy indyjscy. Był to olbrzymi, najwspanialszy pochód na świecie!

Żółci republikanie.

Żyjemy w czasach, w których dokonywa się wielki przewrót dziejowy, daleko wprawdzie, ale w skutkach mający nieobliczalne wprost znaczenie dla całego świata! Olbrzymie państwo chińskie z milionowem mrowiem ludności, która mogłaby zalać i pochłonąć całą Europę — zbudziło się z odwiecznego snu letargicznego... Zaśniedziały w wiekowym konserwatyźmie żółty trup ożył i odrazu pokazał oblicze — republikańskie!



Charles Cahier jako Waltraute w „Zmierzchu bogów“ Wagnera.

Wszystkie południowe prowincye Chin ogłosiły już republikę i zorganizowały rząd republikański. Jedynie na północy państwa utrzymuje się jeszcze fikcya monarchii chińskiej, której przedstawiciele z Juanszikajem na czele prowadzą oficyalne rokowania w Szanghaju z przedstawicielami republiki. Rokowania te przeplatane są krwawemi walkami, o jakich Europejczyk niema pojęcia... Nigdzie życie ludzkie nie jest tak mało cenione, jak w Chinach. To też obecna wojna domowa chińskich monarchistów z republikanami zamieniła się w istne piekło potwornych rzezi i krwawej pożogi. W ostatnich trzydniowych walkach pod Hankau, które były tylko jednym z licznych epizodów rewolucyi, padło przeszło 100.000 ludzi, a znaczna część miasta legła w gruzach i wraz z ludnością stała się pastwą płomieni. Cyfra ta daje wyobrażenie, jak straszne żniwo zbiera wojna domowa w Chinach. Nie odstrasza to jednak chińskich republikanów od dalszej akcyi... Zaszli w zwycięskim pochodzie aż do Nankinu i tam zawiesili zbroczony krwią sztandar republikański. Przywódcy ich w tym piekle walki z całym spokojem radzą nad przyszłym ustrojem państwa chińskiego. Jedna z naszych ilustracyi przedstawia właśnie taką naradę chińskich republikanów w budynku szkolnym w Szanghaju.

Twarze poważne, zamyślone, lecz spokojne, jakby pewne zwycięstwa... Żółci republikanie nie boją się zresztą walki — bo umieją spokojnie nie tylko radzić, ale i... umierać, jak przystało na... Chińczyków.

Charles Cahier.

Zwolenników bel canta czeka w pierwszych dniach stycznia nielada biesiada artystyczna. Przybywa do nas znakomita alcistka opery wiedeńskiej p. Charles Cahier, która przed trzema laty występując w Krakowie po raz pierwszy, zrobiła, jak się to potocznie mówi, „furorę“.

Panią Cahier porównywać można jako artystkę tylko z... nią samą. Jest to doskonałość bezwzględna i wszechstronna. To, co w granicach głosu altowego da się wykonać, to w wykonaniu wspaniałej kontraltystki opery wiedeńskiej staje na niedościgłym poziomie sztuki śpiewackiej i artyzmu wogóle. Pani Cahier nie zna granicy między sceną a estradą; gest gry jest jej tak samo wygodnym, jak spokój klasycznej rzeźby, cechujący jej występy estradowe.



Żółci republikanie: Chińscy rewolucyoniści przed bramą miejską w Nankinie.



KREW

powieść z niedawnej przeszłości

napisał WALERY PRZYBOROWSKI.

„Krew jest dziwny sok".

I.

W stronnictwie, a raczej partyi, jak to wówczas mówiono, znano go pod pseudonimem „szlagona", choć właściwie nazywał się Zajączkowski, Władek Zajączkowski. Może to przezwisko stąd powstało, że rodził się i wychował na wsi, ojciec jego bowiem posiadadał gdzieś w Krakowskiem, czy Sandomierskiem mały, kilkuwłókowy folwarczek. Ale choć wychował się na wsi i był niewątpliwym szlachcicem, herbu Jastrzębiec, gardził szlachtą, gardził obecnym porządkiem rzeczy, ustrojem społecznym, kapitalistami, burżujami i całą tą bandą wyzyskiwaczy, których, jak twierdził, niebawem wielka rewolucya społeczna zmiecie, jak pył marny. Przybywszy do Warszawy, odrazu znalazł się wśród najskrajniejszych żywiołów i należał do najzapaleńszych, najwymowniejszych, był najbardziej zdecydowanym, gotowym każdej chwili wywrócić na tym podłym (jak mawiał) świecie, wszystko do góry nogami.

I oto teraz, w wietrzny i zimny dzień lutowy, biegł, otuliwszy się w palto, z kołnierzem na uszy postawionym, na ulicę Chłodną, gdzie miało się odbyć w jednym z niepokaźnych domów, w oficynie od tyłu, tuż przy rogatce i okopach, wielkie zebranie jego stronnictwa. Biegł i układał sobie w głowie mowę, jaką chciał wygłosić przeciw pewnym osobistościom, kilkunastu głupcom, podmówionym przez żydów i inne żywioły obce, a występującym przeciw narodowości polskiej, jej ideałom i pragnieniom. On bo, mimo wszystkie teorye, któremi się przejął, czuł się zawsze Polakiem, gorąco kochającym swą ojczyznę nieszczęśliwą, gotowym za nią krew przelać i marzącym, że właśnie te dążności, które wyznaje i propaguje jego partya, mogą tej ojczyźnie przywrócić w przyszłości życie samoistne, acz oparte zgoła na innych, jak dotąd podstawach.

Na rogu ulicy Elektoralnej i Chłodnej silny wiatr o mało nie zerwał mu kapelusza z głowy, tak że musiał go ręką przytrzymać i odsłonił twarz dotąd zakrytą kołnierzem, na którą padł blask obok stojącej latarni. I zaraz też zatrzymała się idąca naprzeciw niemu jakaś strojna dama i słodki, pieszczony głosik zawołał:

— Ach, to pan?

Zdziwiony Władek podniósł oczy na mówiącą i uczuł dziwne, wstrząsające wzruszenie. Tak, to była ona, ta ubóstwiana, pierwsza jego, niezapomniana, gorąca, młodzieńcza miłość, miłość nieszczęśliwa, bo przecież była żoną innego. Jola, cudna Jola (a miała na imię Jolanta), której widok i głos pieściwy drżał mu zawsze w uszach niebiańską muzyką, stała teraz przed nim i budziła w jego duszy i sercu wszystkie minione, niezatarte wspomnienia. Wszak już rok przeszło, jak jej nie widział, od chwili, gdy wioszczynę ojcowską opuścił, by się rzucić w wir walki o wyśnione ideały. I przypomniało mu się, jak codzień, mimo zawiei i mrozów podczas zimy, skwarów i deszczu w lecie, dosiadał wychudłego podjezdka ojcowskiego i biegł do Kalinówki, gdzie był urząd gminny, a urocza Jola jako żona pisarza gminnego, tamże mieszkała. Nigdy nie mógł zrozumieć, jakim sposobem ta śliczna, czarnobrewa i czarnooka kobieta, o kształtach boskiej Juno, pyszna, wspaniała jak dogaressa wenecka, poetyczna, oczytana, mogła się stać żoną takiego durnia, pisarza gminnego, łapownika, obcego, noszącego miano Wasilia Iwanowicza Pijewodkowa. Ale cóż go to wszystko mogło wtedy obchodzić? Kochał, kochał zapamiętale i zdawało mu się, że był kochany. Przyjeżdżał codzień, by się napawać jej widokiem, patrzyć w jej oczy tak, jak się patrzy na ukochaną kobietę, gdy się ma lat dwadzieścia, duszę gorącą i serce zapalne. A choć Wasilij Iwanowicz Pijewodkow krzywo wkońcu spoglądał na te odwiedziny, krząkał gniewnie i nie stawiał na przyjęcie gościa, jak to z początku czynił, „karafinki oczyszczonej", Władek nie zważał na to, jeździł ciągle i był w siódmem niebie, gdy mógł uścisnąć, ucałować pokryjomu białą rączkę pani Joli i wzajemny uścisk otrzymać.

Ale przyszła wielka burza społeczna, szalona wichura rewolucyjna, porwała go jak liść odpadły od drzewa ojczystego, od starych lip przy dworku ojca i zaniosła do Warszawy i tu rzuciła w taki wir, w takie morze nowych myśli, idei, porywów do czynu, a na niedoczynie się kończących, tak go pochłonęła, że wszystkie dawne pragnienia i serdeczne tęsknice sobą pokryła. Nie zapomniał o Joli, ale nie miał czasu o niej myśleć. Bo czyż można myśleć o kobiecie, gdy huragan szaleje, grozi wywróceniem nawet tysiącletnich dębów, gdy grzmią strzały brauningowe, trzaskają bomby, padają z łoskotem dawne ideały, a krew strumieniami cieknie!

I oto w ten wieczór zimny, mglisty, gdy wiatr świszczy, a płomienie latarń mdło jakoś świecą, gdy otacza go proza pospolita życia, ujrzał ją przed sobą tę niezapomnianą, tę jak zawsze piękną, słodką, ognistemi promieniami pałących oczów czarnych patrzącą na niego jakoś tęskliwie i smutno.

— To pan jest w Warszawie? — szepnęła.

Zrazu nic nie odpowiedział, głos mu zamarł w piersiach i potrzebował pewnego czasu i pewnego wysiłku nad sobą, by oprzytomnieć i na pytanie to odpowiedzieć.

— Boże! — myślał sobie, pożerając ją oczami — jaka ona śliczna, strojna, zgrabna, o figurze skradzionej chyba greckim boginiom! Jakże się różni od tych „towarzyszek" w partyi, chudych, brudnych, z wykrzywionymi obcasami u bucików nieczyszczonych od urodzenia, ubranych okropnie, nie kobiet, nie mężczyzn, ale jakichś istot bezpłciowych, palących papierosy, pijących wódkę i piwo i prawiących o wolnej miłości, o zrównaniu praw kobiecych z męskiemi, o wychowywaniu dzieci przez państwo...

— Tak pani — odrzekł nakoniec, chwytając, a raczej wydobywając jej rączkę w obcisłych, nowiuteńkich rękawiczkach z futrzanej mufki — tak, jestem w Warszawie od dawna... od roku przeszło.

— O! ja ten czas doskonale pamiętam... ale mówiono mi, że pan musiał emigrować, nie przypuszczałam, byś był w Warszawie.

— Nie emigrowałem, choć i to zapewne nastąpi... nie czuję się tu bezpiecznym, mają oko na mnie... ale pani, pani, co tu robisz?

— Przeniosłam się także do Warszawy z mężem... dostał tu posadę... mój Boże, jakże mi żal Kalinówki i moich wspomnień i marzeń pod krzyżem!... Pamięta pan ten krzyż stary, zmurszały krzyż na rozstajnych drogach?

— Czy pamiętam? ja wszystko pamiętam... i ten krzyż, choć kto tam dziś o krzyżach myśli!...

— Jakżebym chciała z panem porozmawiać długo, szczerze, serdecznie, jak dawniej. Ach, jak to źle, że wszystko mija na tym świecie.

— Niestety! są jednak uczucia, które nie mijają i nie gasną nigdy.

Spojrzała na niego i „utopiła oczów błyskawice w kochanka swego błękitne źrenice" — jak mówi poeta — a po chwilowem milczeniu, jakby się z sobą samą naradzała w duszy, rzekła:

— Ale cóż my tu stoimy na ulicy? zimno jest. Chodź pan do mnie, męża niema i nie prędko wróci, a zresztą o to mi nie idzie... chodź, pogadamy, przypomnimy sobie Kalinówkę, przechadzki nasze, sny nasze, rozmowy pod krzyżem na rozstajnych drogach...

O, zaśmiała mu się dusza z radości na te zaprosiny, na myśl o tem sam na sam, o słodkiem wspomnieniu chwil minionych, a tak miłych, i już miał odpowiedzieć, że dobrze, że idzie z nią, gdy nagle przypomniał sobie schadzkę w „stowarzyszeniu" z członkami partyi, schadzkę, na której miał wygłosić swą mowę i na której, wiedział o tem, miał być osądzony jeden z członków, podejrzany jeżeli nie o zdradę, to w każdym razie o czyny niejasne i wątpliwe. Przekleństwo! — pomyślał sobie — człowiek porwany raz w to koło przewrotu społecznego, staje się maszyną, nie wolno mu mieć swej woli, nie wolno mu kochać i prowadzić słodkich, cichych pogawędek z umiłowaną kobietą, nic mu nie wolno, bo „towarzysze" takie postępowanie nazwaliby burżujstwem, świństwem i niezdolnością należenia do „partyi". A zresztą sam tam wszedł, z własnej woli nieprzymuszonej, sam widział w tem możność urzeczywistnienia swych ideałów i cofnąć się nie może. Czyż to godnem jest członka proletaryatu porzucać „towarzyszy" dla ładnych oczów?

Z żalem więc, z nieskrywanym bólem odrzekł:

— Jakżebym pragnął takiej rozmowy, ale...

— Cóż ale?

— Ale dziś nie mogę.

— Dlaczego?

— Dlatego... bo i po cóż ukrywać to przed panią, że mam dziś zebranie mego stronnictwa, zaczyna się ono o godzinie ósmej, a już jest po ósmej, muszę... muszę być na niem...

Zaśmiała się srebrzystym głosem:

— Zebranie! partya! dajże pan pokój, panie Władku!

Rzadko go tak pieszczotliwie po imieniu nazywała, a ilekroć nazwała, słodki balsam na serce mu spływał. I teraz stał rozpromieniony, a ona dalej mówiła:

— Jacyż ci mężczyźni zabawni! Partya! zebranie! wielkie słowa. Czyż to ja, ja, Jola z Kalinówki, mniej warta jestem, jak jakaś tam partya? No! no! chodź pan, kiedy proszę, kiedy chcę tego.

I wzięła go pod ramię i pociągnęła za sobą, a on poszedł, bo zawsze, choćby anioł z mieczem ognistym stał przy zakazanym owocu, Ewa pociągnie za sobą i skusi.

— Mieszkam niedaleko, tu na Elektoralnej — mówiła do niego, trzymając go pod rękę, a on czuł przy tem dotknięciu ciepło i gibkość jej ciała i bicie jej serca; fala krwi uderzała mu do głowy i już teraz za nic by się nie cofnął, choćby mu wszystkie partye na świecie stanęły na drodze i samo nawet zbawienie tego świata.

I tak szli we dwoje, szepcząc do siebie, szczęśliwi, zakochani, zapominając o wszystkiem, on o zebraniu swego stronnictwa, ona o mężu Pijewodkowie, o tem, że szli ulicą pełną ruchu, wrzawy wielkomiejskiej, że zimny wiatr mroził ich twarze, że przechodnie przypatrywali im się z uśmiechem, bo stanowili wszystkiem, ruchami, zajęciem się sobą, szeptem, oczami, typową figurę zakochanej pary. Ona mu mówiła, że niezmiernie jest rada, iż mieszka w Warszawie, choć przed godziną jeszcze tęskniła za Kalinówką, za starym krzyżem przydrożnym, ale teraz już nie tęskni i szczęśliwa jest, że się znajduje w Warszawie.

— Warszawa taka piękna, taka ożywiona — odezwała się, tuląc się pieszczotliwie do jego ramienia, jakby chciała temi słowami usprawiedliwić wstydliwie nagłe rozmiłowanie się w pięknościach Warszawy, które ją przed godziną jeszcze wcale nie zajmowały.

On tego wszystkiego słuchał, patrzył w jej oczy, które od czasu do czasu przy blasku latarń ulicznych zapalały się ognistymi płomieniami, poił się słodyczą jej głosu i nie myślał wcale o partyi i o zreformowaniu urządzeń społecznych. W duszy mu

coś szeptało, że wszystko na świecie jest głupstwem, wobec ukochanej kobiety.

Szli wolno, bo nie spieszyło im się wcale i radziby byli iść tak jak najdłużej, ale nakoniec zaszli do jej mieszkania. Zajączkowski, choć zajęty był wyłącznie swą piękną towarzyszką, choć w tej chwili nic poza nią dla niego nie istniało, jednakże uderzony był elegancyą i komfortem, jaki tu ujrzał. Lokal mieścił się w dużym domu, zajmował cały front, składał się z kilku pokojów, umeblowanych zbytkownie, pełnych zwierciadeł, bronzów, dywanów, mnóstwa cacek, rozrzuconych w pozornym, jednakże pełnym smaku nieładzie. Robiło to tym dziwniejsze wrażenie, że tam w Kalinówce państwo Pijewodkowie mieszkali w prostej, drewnianej chałupie wiejskiej, strzechą krytej i posiadali wszystkiego dwa pokoiki i kuchnię, której zapachy zawsze niemile drażniły szlachecki nos Władka. Tu zaś na oknach, na etażerkach pełno było kwiatów, choć to zima była, czerwieniały i złociły się strzępiaste chryzantemy, a przepyszne tuberozy duszącą wonią napełniały salon, pełen tajemniczych cieni od przyćmionej purpurowym abażurem lampy. Tam, w Kalinówce, były także kwiaty, bo pani Jola kochała się w nich, ale mieściły się w kilku zwyczajnych doniczkach na oknie lub w skromnych szklanych wazonikach na paru stołach prostych, wytartym kilimkiem pokrytych; tam były proste, staroświeckie krzesła, włosiem kryte wraz z tradycyjną kanapą na środku o rozmiarach potężnych, tu pełno krzesełek małych, okrągłych, miękkich, złocistym adamaszkiem błyszczących, kozetek, zachęcających do cichej pogawędki, dywanów, portyer, ogromnych azalii, fikusów i oleandrów, zapraszających pod swój cień zakochaną parę.

Ale choć to wszystko uderzyło Władka dziwną sprzecznością ze skromnem, prawie ubogiem mieszkaniem pisarza gminnego w Kalinówce, jednakże nie miał czasu, nie mógł zastanawiać się, ani myśleć o tem wobec ślicznej Joli. Na chwilę zostawiła go samego w tym zbytkownym salonie, by zrzucić z siebie futerko i zaraz potem ukazała się już w sukni tylko, szeleszcząc jedwabiami i koronką, wspaniała w swej postawie boskiej Junony, z twarzyczką o karnacyi i jędrności kararyjskiego marmuru, ustach purpurowych i oczach dużych, czarnych, aksamitnych, mieniących się w szafir, słodkich, a ognistych, łzą melancholii powleczonych.

— Boże, jakaż ona piękna jest dzisiaj! — mówił sobie Władek.

Bo zapewne, pani Lola była zawsze piękna, ale w Kalinówce, w prostaczem, ubogiem otoczeniu, w prostej perkalikowej lub wełnianej sukience, traciła dużo na uroku i blasku, którego tutaj dodawał jej ten salon wykwintny, te wonie upajające kwiatów, te tajemnicze półcienie, ten szelest jedwabiów i koronek.

I siedli sobie w kąciku, pod cieniem ogromnej, drżącej wiecznie tui i rozpoczęli pogawędkę długą, nieskończoną. Ona się pytała, co on robi w Warszawie, gdzie bywa i czy zawsze o Loli z Kalinówki pamiętał, i szeptali cichym półgłosem, jakby się lękali, by ta drżąca nad nimi tuja nie pochwyciła zdradziecko ich słów. Zdala, przez przysłonięte ciężkiemi firankami okna, dochodził do nich głuchy szum, turkot, potężny oddech płuc wielkiego miasta i sami nie wiedzieli, kiedy spoiły się ich ręce, a za rękami i usta... I ta denerwująca cisza, ta upajająca woń tuberoz i te cienie tajemnicze, te pocałunki zdradzieckie rozgrzały ich krew i sami nie wiedzieli, jak i kiedy się to stało... co się stało... Tam, w Kalinówce kochali się tak samo jak tutaj, ale tam złemi oczami spoglądał na nich Wasilij Iwanowicz Pijewodkow, a jeżeli nie on spoglądał, to patrzyła na nich natura, szerokie niwy polskie, złociste łany żyta i pszenicy, pełne czerwonych maków i habrów modrych, tam rozciągał nad nimi ramiona stary krzyż, na pół zmurszały i nie pozwalał niejako, by w chłopcu budził się brutalny samiec, a w niej żądna uścisków samica. Ale tu, wśród tej woni upajającej, tych jedwabiów, na tej miękkiej, lubieżnie łaskoczącej kanapce...

Podniosła się, wyrwała prawie gwałtem z jego namiętnych objęć, poprawiła i wyprostowała zmięte fałdy sukni, wstydliwie zapięła haftki bluzki i stała przez chwilę niema, jakby zamyślona o czemś.

— Gniewasz się na mnie? — spytał Władek cicho, głosem drżącym.

A ona zbliżyła się do niego, zawisła mu obiema rękami na szyi i całując go, szeptała:

— O, nie! nie gniewam się wcale i kocham cię nad życie. To, co się stało, dobrze się stało. Dość mam tego życia, jakie dotąd pędziłam i ja mam prawo zaznać trochę szczęścia i trochę rozkoszy z człowiekiem kochanym. Nie! nie! wcale się nie gniewam i jestem szczęśliwa.

A potem nagle zerwała się, odeszła od niego i rzekła:

— Ale dość tych upojeń. Mówmy rozsądnie, rozpatrzmy nasze położenie. Gdzie mieszkasz?

— Dlaczego się pytasz o to?

— Bo nie zawsze będziesz tu mógł przychodzić, a wtedy ja zajdę do ciebie.

Milczał przez chwilę, a potem rzekł:

— Mieszkam stąd daleko, na Mokotowskiej ulicy, ale muszę się stamtąd wynieść, bo policya ma na



...i sami nie wiedzieli, kiedy spoiły się ich ręce, a za rękami i usta...

mnie zwrócone oko. Muszę sobie wyszukać gdzieindziej nowe mieszkanie, zmienić nawet nazwisko, żeby się ukryć przed okiem szpiclów...

Teraz ona się na chwilę zamyśliła, wreszcie rzekła:

— Wybornie się składa. Mamy tu jeden pokój z osobnem wejściem, który nam jest wcale niepotrzebny, którego nie zajmujemy, pustkami stoi i mój mąż... mąż! (zaśmiała się szyderczo) chce go odnająć. Weź go!

— Hm! byłoby to prześlicznie, ale wątpię bardzo, czy twój mąż zgodzi się na to, bym ja właśnie odnajął ten pokój. Wszak już w Kalinówce boczył się na mnie i podejrzywał nas oboje...

— To było co innego. Tutaj jest on zajęty nadzwyczajnie, często wyjeżdża, ma jakieś interesa, sprawy, których ja nie rozumiem, bo mi o nich nie chce mówić, a zresztą, prawdę powiedziawszy, co mnie mogą obchodzić sprawy i interesa pana Pijewodkowa?... ciebie kocham i ty mnie jeden obchodzisz...

— Tak, ale pan Pijewodkow nie zgodzi się na to, bym tu mieszkał.

— Zostaw to mnie. Jutro kartę wywiesić każę, a ty przyjdź o trzeciej popołudniu. Pan Pijewodkow będzie w domu... rzecz całą ułożymy odrazu i ja będę najszczęśliwszą z kobiet, mając ciebie przy sobie. Co! dobrze? powiedz, czy dobrze? czy cię mój projekt cieszy?

Oczywiście, że go cieszył i nowemi pocałunkami tę uciechę utwierdził i chciał dłużej tu jeszcze w tym rozkosznym salonie pozostać, ale ona kazała mu się wynosić, bo już jest koło północy, a pan Pijewodkow zwykł o tej porze wracać do domu. Nie trzeba, żeby zastał tu Władka, żeby wiedział o jego pobycie w Warszawie. Jutro niby przypadkiem się spotkają.

Więc wyszedł na pół pijany szczęściem, rozmyślając o wszystkich fazach tego wieczoru, uprzytomniając sobie każdy moment jego dziejów, drżąc jeszcze od rozkoszy jej objęć i jej pocałunków.

II.

I stało się tak, jak się umówili. Władek znalazł Pijewodkowa mało zmienionym, tylko jeszcze brzydszym, jeszcze wstrętniejszym, jak dawniej. Tak samo miał głowę nieuczesaną, na pół łysą, rzadkim, płowym, a raczej niezdecydowanej barwy włosem pokrytą, tak samo twarz jego nosiła wszystkie znamiona poziomych namiętności i instynktów, tak samo małe, spłowiałe, ale złe, świdrowate i niespokojnie biegające oczy patrzyły na Władka podejrzliwie i chytrze.

Tylko teraz był ubrany lepiej, jak dawniej, tam w Kalinówce; miał czysty, dobrze skrojony surdut na sobie, a u kamizelki wisiał mu gruby łańcuch złoty od zegarka. Świadczyło to zapewne o złym, ordynaryjnym jego guście, jak i mnóstwo pierścieni na długich, chudych, jastrzębich palcach, ale zarazem mówiło o zamożności jego właściciela.

Siedział za stołem, bo właśnie obiad kończył, gdy Władek wszedł (na którego widok twarz Joli oblała się rumieńcem) i nie pił już monopolki ze zwykłej butelki, ale z pięknej karafki rzniętej, przyczem wódka ta zabarwioną była jakimś sokiem, czy czemś innem. Był zdziwiony widokiem dawnego znajomego z Kalinówki, zgodził się chętnie na jego propozycyę, ale, jak zawsze, podejrzliwy, pytał:

— A wy pan skąd uznali, co ja tu mieszkam?

Musiał mu się Władek tłumaczyć, że wcale nie „uznał“ o tem, że nawet nie wiedział o pobycie Wojewodkowa w Warszawie, tylko szukając od paru dni mieszkania i przechodząc przez ulicę Elektoralną, zobaczył na bramie domu kartę o wynajęciu pokoju, a że cena wydała mu się przystępną, więc przyszedł tutaj i cieszy się, że spotkał dawnego znajomego.

— Da, da, dawnego znajomego — mruknął Pijewodkow i sięgnąwszy po karafkę, nalał sobie w kieliszek i znowu pytał:

— A wy, pan Władysław, co działacie w Warszawie?

Pan Władysław słuchał tych pytań, a patrzył na Jolę, która siedziała milcząca, z twarzą pokrytą palącym rumieńcem może wstydu, i pożerał oczami, a w myśli przypominał sobie wieczór wczorajszy, miękką kozetkę pod cieniem drżącej tui i piękną Jolę, jak sobie zapinała haftki stanika i prostowała pomięte fałdy sukni. O! takich scen nie zapomina się nigdy w życiu. I tak w tych wspomnieniach zagłębił się, a patrząc na Jolę, pewnym był, że i ona przebiega w myśli wszystkie momenty wczorajszego dramatu, że nie odpowiadał na pytania Pijewodkowa, aż ten musiał je powtórzyć.

— Nic nie działam — odrzekł nakoniec Władek — chodzę na kursa handlowe, uczę się buchalteryi.

— A! buchalteryi... nu, to i dobrze, to się wam, pan Władysław, przyda. Pany i szlachticy polskije nie znali nigdy co to rachować, nu, my ich teraz przyuczyli. Pan, panie Władysław, kup sobie szczoty, niema nic lepszego na świecie, jak szczoty, a?

(Ciąg dalszy nastąpi).

Z wojny włosko-tureckiej.

(Do illustracyi na str. 10).

Nigdzie tragiczne kontrasty życia nie występują z taką siłą, jak na wojnie. W piekle morderczych walk, w którem, jak się zdaje, nikną wszystkie pierwiastki uczuć ludzkich, błyśnie czasem także promyk wesela, dziecinnej swawoli, lub dziwny na tle krwawego żniwa wojny przebłysk tkliwości... Gdy umilknie na chwilę huk dział i karabinów i nastanie tak upragniony odpoczynek, żołnierze i oficerowie oddają się wesołej pogawędce, nie myśląc bynajmniej, iż za chwilę może obowiązek każe im pójść na śmierć niechybną. Walcząc z całem okrucieństwem z przeciwnikami, ujawniają też niekiedy dziwną tkliwość, dzieląc się skąpem pożywieniem z towarzyszącymi im czworonożnymi „przyjaciółmi“, którzy stanowią miłą dla żołnierzy rozrywkę w chwilach odpoczynku. Prawie każdy oddział wojska posiada takiego czworonożnego ulubieńca, psa lub inne zwierzę, które dzieli z nim trudy wojenne...

Illustracya nasza przedstawia właśnie oddział żołnierzy tureckich, którzy podczas odpoczynku oddają się ożywionej pogawędce. Wśród nich widzimy zgoła niezwykły okaz „czworonożnego przyjaciela“, bo oswojoną gazellę.

Rozwiązanie zagadek z Nr. 49.

Kwadrat magiczny: Mickiewicz, Wyspiański, Kaczkowski, Żmichowska.

Bilety wizytowe: Magazynier. Majster kominiarski.

Zadanie do przestawienia: Nie wszystko złoto, co się świeci.

Trójkąt magiczny: Kingpao, Istmus, Narew, Gram, Pad, As, O.

Łamigłówka: Bank parcelacyjny. Długosz ministrem.

Zadanie konikowe:

A z miejsc, gdzie ducha sen na łoże swoje, uchodzą, dziwna w pośmiertnych różnica, z tymi, co wiecznie tu marzą pokoje i chcieliby mieć świat opasły, zdrowy... piekielni, z których drwi anioł grobowy, o fałszu ludziom z ciała niewiadomy!

Zagadka geograficzna: Toga, rana, ryba, opal, tron, mila, migi, pies

Dobre rozwiązania nadesłali Pp: D. Sedyńska Kraków, J. Jakubowska Kraków, J Wilczkiewicz Lwów, E. Niestenberger Lwów, K. Galiński Sambor, F Gebhardt Kraków, M. Planecka Kraków, J. Cisowski Warszawa, S. Krzyżanowski Kraków, J Roland Kraków, K. Rosenbaum Rozwadów, I Brzostowski Krosno, J Strojek Tarnopol, W. Świrski Piotrków, M. Więckowska Łódź, A. Pick Warszawa, K. Bandrowski Lwów, J. Kwaśniewski Przemyśl, K. Lindenbaum Czerniowce, W. Kalinowska Kalisz, M. Thun Płock, J. Trepka Radom, J. Raczyński Kołomyja, H. Górska Lwów, K Stefański Lwów, M. Rychlik Jasło, S Sokołowski Kraków, Z Dębiński Lwów, J. Solecki Kraków, K. Kaim Kraków, R Madejski Lwów, D. Dorożyński Odessa, C. Wang Tarnobrzeg, K. Sawliński Jasło, J Sadowski Kraków, S Rogowski Kołomyja, T. Biliński Tarnów, A. Balicki Stanisławów, S. Rogaliński Warszawa, J. Lisowski Krosno, D Engelberg Rzeszów, A Gralewski Kraków, J. Jahoda Cieszyn, J. Antosz Kołomyja, S. Radomski Czerniowce, F. Blatterfeind Lwów, W. Ostrowski Łódź, J. Łopatkiewicz Jasło, J. Czarkowski Uhnów, J. Kozicki Stanisławów, L. Lang Kraków, T. Szumski Ryga, K. Armatys Lwów, J. Nowacki Lwów, H. Chmurowicz Częstochowa, J. Orzechowski Kalisz, K. Janik Drohobycz, M. Link Lwów, R. Czapuczyński Kijów, W. Wojciechowski Czerniowce, K. Karpowicz Wiedeń, J. Sperling Wiedeń, S. Cegielski Poznań, J. Popiel Kijów, M. Rieger Brody, H Dębicki Lwów, M. Gawrońska Mińsk, L. Krokowska Częstochows, F. Zając Bochnia, K. Kinalski Tarnów, S. Bernatowicz Rzeszów, M. Klimek Cieszyn, S. Wiewiórowski Warszawa, J. Krawecki Przemyśl, F. Knopf Jarosław, H. Wysoszański Petersburg, H. Scholz Rozdół, A. Dużak Kraków, J. Walter Podwołoczyska, K. Misińska Złoczów, J. Śliwiński Brzostek, D. Ligęza Tarnów, M. Arbesbauer Lwów, B. Świtlikowa Rzeszów, A Lorencki Warszawa, M. Serbeńska Budzanów, K. Szumańska Rawa Ruska, K. Fuchs Czeremchów, S. Osadowska Rzeczyca, H. Topolnicki Kamieniec, H Czyżewska Warszawa, S. Lipski Wiedeń, H. Trojacki Wiedeń, J. Biechońska Stsnisławów, S. Lindenbaum Czerniowce, S Galiński Sandomierz, J. Lichański Warszawa, T. Mazaraki Radom, B. Zbigniewicz Kraków, J. Broda Rzeszów, H Górska Lwów, K. Radoszewski Kolbuszowa, J. Zachara Krosno, M. Wyka Rzeszów, K. Król Kołomyja, W. Potocka Kraków, D. Karczmarski Poddębie, M. Karpińska Lwów, J. Kaczkowski Drohobycz, A. Siatka Kraków, S. Karwowski Berlin, H. Tymińska Lwów, J. Piątek Podwołoczyska, J. Stanisławski Czerniowce, M. Kot Sambor, A. Kosiński Kolbuszowa, M. Winter Tarnopol, M. Klappholz Rzeszów, D. Łopatyński Kraków. S Jasiński Rzeszów, H Maciejowska Winnica, R Bukowski Kijów, M. Sikorska Stanisławów.

Nagrodę przez losowanie otrzymał p **S. Lipski Wiedeń.** Upraszamy o nadesłanie 35 hal. na koszta poleconej przesyłki.

NADESŁANE.

Dodatek kalendarzowy. Do całego nakładu niniejszego numeru naszego pisma dołączony jest kalendarz losowań na rok 1912 od 73 lat istniejącego **kantoru wymiany Domu bankowo-handlowego, L. Herber, Berno, Gr. Platz 3,** który naszym czytelnikom do przejrzenia najgoręcej polecamy. Oprócz kalendarza losowań, spisu losów, jakoteż wszelkich innych godnych uwagi każdego oszczędzającego i posiadacza papierów wartościowych, dat, zawiera jeszcze ta książeczka zestawienie wahań kursowych pierwszorzędnych akcyi, które dla każdego kapitalisty, szukającego umieszczenia kapitału, powinny być bardzo interesującemi. Dom handlowo-bankowy L. Herber cieszy się z powodu swej nadzwyczajnej rzetelności jak najlepszą opinią i może przy przeprowadzaniu wszelkich transakcyi bankowych być każdemu poleconą. Na wypadek, gdyby komuś książeczki nie doręczono, zostanie ta na życzenie wprost z banku wysłaną.

Kronika tygodniowa.

Ostatni tydzień przedświąteczny dał nam się jeszcze bardziej we znaki niż jego poprzednik, choć na oko oba podobne są do siebie jak dwie krople wody. Tem się chyba różnią od siebie, iż ubiegły był pod znakiem parasola, bieżący wchodzi tymczasem w znak futra, co właściwie sprzeciwiałoby się tradycyi, gdyż skoro święta Barbara była po lodzie, to Boże Narodzenie powinno być stanowczo po wodzie.

Nie przesądzajmy jednak wypadków, kto wie, co nam jutro przyniesie. Rok Pański 1911 jest przecież rokiem różnych niespodzianek.

W naszych narciarzy i saneczkarzy wstąpiła natomiast otucha, że będą się mogli bodaj w czasie świątecznym oddać umiłowanemu sportowi, niestety, jak dotąd, niema nawet ani śladu śniegu. Powiadają, iż uprosiła to sobie krakowska Rada miejska ze względu na bardzo ciężkie położenie ekonomiczne gminy.

Owych ciężkich czasów najlepszym dowodem wzmianka *Tygodnika mieszczańskiego*, iż nawet gmina miasta Krakowa zmuszona była zaciągnąć pożyczkę w kwocie 160.000 kor. i to aż na sześć i pół procentu, a jest to przecież instytucya. o której można powiedzieć, że „jest ją na czem patrzeć"... Jeśli tak poważne „ciało" musi szukać tak drogiego kredytu, cóż dopiero ma mówić i robić zwykła jednostka, mogąca n. p. w Turcyi starać się z czystem sumieniem o kanonizacyę? Widać z tego, że panowie Jojny, Arony, Mendle i tak dalej, pożyczając nam z grzeczności na trzydzieści procent, a nawet i więcej, powinni być uważani jedynie za dobroczyńców ludzkości.

Ruch na krakowskiej giełdzie w okresie przedświątecznym wzmógł się ogromnie, stosunkowo najbardziej na tak zwanej „czarnej giełdzie", mającej swą rezydencyę w okolicy kościoła św. Wojciecha, gdyż tutaj kredyt jest jeszcze stosunkowo najłatwiejszy. Na pierwszy rzut oka nie można tego było wprawdzie skonstatować, gdyż z powodu deszczu a potem mrozu, najpoważniejsze, choć nieprotokołowane firmy musiały się cofnąć do różnych szynczków i kawiarni, kto jednak ma do nich interes, wie, gdzie je znaleźć.

Transakcyi przeprowadzono tutaj w ostatnim tygodniu na kilkadziesiąt tysięcy koron, były to przeważnie same tylko tak zwane chwilówki, mające być zwróconemi na pierwszego z pensyi, w najlepszym zaś razie z owego dodatku drożyźnianego, który mają urzędnicy państwowi otrzymać z początkiem roku 1912, o ile naturalnie nie zajdzie coś, co mogłoby opóźnić całą sprawę.

Z tego wszystkiego widać, że położenie nasze finansowe nie jest jeszcze najgorsze, kto ma kredyt, ma takie i pewną wartość, bo golemu chyba nikt nie pożyczy. Świadczy o tem także ta masa różnych instytucyi pożyczających pieniądze i robiących w Krakowie bardzo dobre interesy. Dziś nie znajdziesz w mieście, zwłaszcza w Rynku, kamienicy, gdziebyś, jeśli masz warunki, nie mógł zaciągnąć pożyczki. To tylko bieda, że je trzeba oddawać. Gdyby znalazła się instytucya, któraby tego nie wymagała, mogłaby liczyć na poparcie całej krakowskiej ludności, bez różnicy zapatrywań politycznych i pozycyi społecznej.

Spodziewałem się, że może w tym roku nie minie mnie nagroda z fundacyi Nobla. O chemicznej nie myślałem, gdyż niestety nie udało mi się dotąd wynaleźć prochu, zresztą nie chciałem konkurować z rodaczką, sądziłem jednak, że jeśli nie literacka, to przynajmniej bodaj kawałek pokojowej na mnie już czeka. A na te ciężkie czasy byłbym się kontentował nawet jej ćwiartką! Widocznie jednak nie podała mnie krakowska Akademia Umiejętności, a szkoda, bo byłbym niezawodnie jedną z nich otrzymał. Chyba, że ją o to wcale nie zapytywano...

Dajmy jednak spokój narzekaniom, co się stało już się nie odstanie, tak przynajmniej powiada przysłowie, a przysłowia są filozofią narodów.

Ubiegły tydzień, jak przystało dla obywatela i ojca rodziny, spędziłem częściowo na pracy społecznej, częściowo zaś pomagając mojej połowicy w zajęciach gospodarskich w domu. Niestety, nie mogliśmy się nigdy zgodzić, ilekroć miałem interesa w mieście, tylekroć chciała mnie zatrzymać, jeśli zaś okazałem gotowość do udzielenia pomocy, wysyłała mnie na miasto, twierdząc, może i słusznie, że w domu tylko przeszkadzam.

Wobec tego większą część czasu spędziłem poza domem.

W pierwszym rzędzie miałem jako delegat kronikarzy galicyjskich wyjechać na konsekracyę księdza biskupa Sapiehy do Rzymu, margrabia San Giuliano w drodze dyplomatycznej zwrócił jednak uwagę Redakcyi, że nie ręczy za całość mojej osoby. Włosi gniewają się na mnie za kilkakrotne wzmianki o okrucieństwach, jakich dopuszczali się w Afryce.

Nie pojechałem, ale też zemściłem się srogo. Bojkotuję ich na każdym kroku i zakazałem w domu stanowczo kupowania makaronu włoskiego, choćby go nawet miano używać jako lekarstwo. „Za twoje myto, jeszcze cię obito" sprawdza się na mnie. Dawałem w kronikach dyplomatom włoskim dobre rady, pokojowemi nawet perswazyami przyczyniłem się bardziej nawet niż hr. Aehrenthal do zażegnania grożącej między Włochami a Austryą wojny, a ci makaroniarze nie chcą teraz nawet ręczyć za całość mojej osoby!

To jest więcej, niż czarna niewdzięczność!

Pozatem wziąłem udział w wyborach do krakowskiej Izby handlowej, wprawdzie nie bardzo czynny, ale i to nie moja wina. Tutaj wybory są właściwie tylko nominacyami. Głosy oddaje się na upatrzonych i zatwierdzonych z góry kandydatów, nie potrzeba więc ani czarodziejskiej urny o podwójnem dnie, ani żadnych innych sztuk magicznych. Niema agitacyi i kiełbasy wyborczej, nie wybucha też w okresie wyborów ani pryszczyca, ani żadna inna zaraźliwa choroba.

Odbywa się wprawdzie po wyborze skromna bibka, ale na nią zapraszają tylko swoich, reszta może spokojnie łykać ślinkę.

Wysłałem takie telegram kondolencyjno gratulacyjny do ambasadora chińskiego w Wiedniu, który z polecenia swego rządu musiał obciąć warkocz. Żałowałem, iż pozbawiono go tak pięknej ozdoby, cieszyłem się zaś, iż zwiastuje to nastanie ery postępu nawet w Chinach, gdy tymczasem u nas idzie wszystko po staremu, w myśl dekretów i patentów kancelaryi nadwornej jeszcze z czasów ś. p. króla Ćwieczka i królowej Stokrótki. Może wreszcie weźmiemy sobie przykład z Chin i pozbędziemy się także rozmaitej chińszczyzny.

Wreszcie próbowałem szczęścia na kiermaszach i loteryach fantowych, a ponieważ urządzałem się mądrze, w myśl wskazówek mego przyjaciela-kawalera, wyszedłem daleko lepiej, niż w ubiegłym tygodniu. I spiżarnia i piwniczka jakoś się zaopatrzyły powoli w różne zapasy, żona jest zadowolona i ja mam względny spokój, nie narzekam więc ani na sufrażystki, ani nawet na żadną ciocię, tak, jak nie przymierzając król Alfons hiszpański.

Z tego właśnie powodu mogę też ze spokojniejszem sercem zająć się życzeniami świątecznemi dla Szan. Czytelników. Niechaj każdy doczeka się tego, czego pragnie, niech się cieszy zdrowiem i humorem, bez tych zaś dwu warunków nie można mówić o doczesnem szczęściu.

Kto zaś chce być zdrowym, ten powinien prenumerować *Nowości illustrowane* i to najlepiej całorocznie, aby oszczędzić sobie kłopotu kwartalnego przesyłania przedpłaty i przerwy w otrzymywaniu pisma. Wobec zdrowia wszystko inne schodzi na drugi plan, kto więc się niem cieszy, może się już uważać za prawie szczęśliwego, zwłaszcza, że lekarze i aptekarze podnieśli ceny, jedni konsultacyi, drudzy różnych specyfików, motywując to ciężkimi czasami. Ja tam, o ile mnie to dotyczy, choć ich kocham całem sercem, wolę jednak trzymać się od nich zdaleka.

Pozatem życzę wszystkim P. T. Czytelnikom bez różnicy zapatrywań politycznych, aby, o ile są ojcami rodzin, potrafili zawsze tak mistrernie związać koniec z końcem, by bodaj do przyszłej Gwiazdki nie znaleźli się ani razu w przykrem położeniu finansowem. Mamom, mającym córki na wydaniu ślę natomiast życzenia, aby pan minister skarbu wprowadził już w najbliższych miesiącach podatek starokawalerski, a z pewnością ich latorośle nie będą gdzieś po kątach więdnąć w dziewictwie.

Na tem jednak wyjdzie źle sprawa emancypacyi kobiet, w danym wypadku braknie bowiem kandydatek na sufrażystki, które po większej części rekrutują się z pomiędzy starszych (nie chcę powiedzieć: całkiem starych!...) panienek. Boję się, czy wobec tego nie padnę ofiarą jakiego z ich strony zamachu, podobnie, jak to stało się niedawno w Londynie, gdzie ministrowi Greyowi i Lloyd George'owi jakiś zwolennik kobiecego ruchu (tak zwany sufražysta) chciał wybić oczy pudełkiem, podobno sardynek.

Skorzysta natomiast nasza szersza c. k. ojczyzna, która, wobec projektowanego zaprowadzenia dwuletniej służby wojskowej, potrzebować będzie więcej rekrutów.

Za to życzenie, skierowane pod adresem czcigodnych mam, powinienem otrzymać bodaj wieniec z bobkowych liści od ich córek, bo niech tam sobie każda z nich mówi, co jej się podoba, że „o chłopa nie stoi", ja tam twierdzę przeciwnie, że dla zakręconych kokieteryjnie wąsików, gotowe pójść nawet w ogień... Co daj Panie Boże!

Chciałem także przygotować dla wszystkich Czytelników całą seryę gwiazdkowych podarków, zrezygnowałem jednak z zamiaru wobec tego, iż wyręczył mnie już Wysoki Rząd i obdarzył nas obietnicą kanałów, regulacyi płac urzędniczych, ewentualnie dodatku drożyźnianego i założenia... fakultetu włoskiego w Krakowie, którego tak potrzebujemy!

Ja zaś, o ile mnie to dotyczy, nie żądam niczego od P. T. Czytelników, choć przyznam się w sekrecie, że nie pogardziłbym żadnym prezentem, choćby nawet był złoty lub srebrny. Podarunki w gotówce i naturaliach będą także mile widziane i przyjmowane. Pośpiech jest wskazany, kto się bowiem spóźni, naraził się może na przykrą ewentualność, iż nie przyjmę jego ofiary, z powodu braku miejsca na jej pomieszczenie.

Takiego obawiam się ścisku!

C. k. Dyrekcya Kolei Państwowych w Krakowie donosi:

Dnia 1 stycznia 1912 otwiera się na szlaku Oświęcim-Podgórze Płaszów pomiędzy stacyami Swoszowice i Podgórze Bonarka przy km 599 przystanek osobowy **Borek Fałęcki**, na szlaku Stróże-Nowy Zagórz pomiędzy przystankiem osobowym Dąbrówka a stacyą Sanok przy km 1068 przystanek osobowy **Posada Sanocka** dla ruchu osobowego i pakunkowego.

Bilety jazdy wydawane będą na wymienionym przystanku, ekspedycya pakunków nastąpi za opłatą należytości w stacyi oddawczej

Czasy odjazdu pociągów zatrzymujących się na tych przystankach są podane w ściennym rozkładzie jazdy na kolejach państwowych.

Do części dzisiejszego nakładu dołączamy prospekt Domu handlowo-bankowego firmy L. Herber w Bernie.

GASTON LEROUX.

BALAOO

9)

— Ze wspólnikiem! Z jakim wspólnikiem? — zawołali wszyscy z przerażeniem.

— Oh, wspólnik to niezwykły, gdyż potrafi on chodzić po suficie!

— Ale wreszcie, niech pan powie!

— Jeszcze nie dziś! Ale cierpliwości! Gdyby dziś wieczorem padał deszcz, jutro rano może mógłbym wam powiedzieć... Ach, gdyby spadł deszcz i rozmiękczona ziemia mogła mi dostarczyć wyraźnych odcisków, takich, jakie już odnalazłem na dachach i dla których właśnie sprowadziłem was tu, panowie. Wówczas moje badanie na wspak zbliżyłoby się do końca.

— Dobrze, ale zanim deszcz zacznie padać, chodź my lepiej stąd — zaproponował Roubion — mogą nas podsłuchać. I gdyby nawet oni nie robili tego, o co ich obwinia pan sędzia śledczy, mogliby nabrać o nas złej opinii, a tego należy chyba unikać.

W tejże chwili p. Jules nakazał milczenie.

— Pst! oto oni!

Rozmowy umilkły, jak nożem uciął. Wszyscy żałowali swej obecności na dachu i głośnych rozpraw. Rzucili się na brzuchy, żeby nie być dostrzeżonymi. Powoli jednak jeden po drugim podnosił głowę, by widzieć przechodzących trzech braci.

Eliasz, Hubert i Szymon przechodzili przez ulicę powoli, pewni siebie — z rękami w kieszeniach, fajkami w zębach — zajmując sobą całą szerokość ulicy Nowej. Hubert, rudy człowiek z zielonemi oczyma, szedł w środku, mając po bokach albinosów. Ulica pustoszała przed nimi... jakaś sylwetka, kryjąca się w załamaniu muru, ujrzawszy ich — znikła... Głęboka cisza otaczała ich. Słychać było tylko głuchy odgłos ich kroków na bruku. Szli tak, bladzi, rudzi, w blaskach jarzącego słońca — spokojni i niczem nie wzruszeni.

Kiedy skręcili w boczną ulicę i kiedy odgłos ich kroków zdawał się już dochodzić zdaleka, Patryk rzekł do swych towarzyszy, którzy przyglądali się sobie w milczeniu, pod wrażeniem strasznego dla nich widoku:

— Mnie się zdaje, że ci hultaje nie potrzebują wspólnika.

P. de Meyrentin zwrócił się do Patryka, chcąc mu odpowiedzieć, gdy nagły hałas przeszkodził mu. Przyczyną hałasu był p. Bombarda, który nastraszył wszystkich swemi przeraźliwymi krzykami. Głowa pisarza wystawała z dymnika; wytrzeszczone oczy, wrzeszczące usta, zjeżone włosy wyrażały szaleństwo i niewypowiedzianą trwogę. Trzymał się z całej siły rękami brzegu dachu, ale jakaś potężna siła zdawała się go wciągać do środka.

P. de Meyrentin i jego świadkowie, na chwilę unieruchomieni zdziwieniem, poruszyli się, by pójść na pomoc nieszczęsnemu pisarzowi, ale nowe krzyki, niemniej rozpaczliwe — zatrzymały ich.

Clarice, znajdujący się w drugim dymniku, krzycząc, starał się napróżno wydostać na dach. Powoli pogrążali się obaj coraz głębiej, wciąż wrzeszcząc w niebogłosy, aż wreszcie głowy ich znikły w dymnikach. Panowie, zgromadzeni na dachu, zamienili się w posągi. Zdziwienie, przestrach, unieruchomiły ich i przygwoździły do brzegu dachu. W innych czasach krzyki zgromadziłyby na podwórzu domu i na ulicy tłumy ciekawych, teraz jednak można było krzyczeć dowoli w Saint Martin-de-Bois — nikt nosa nie pokaże! Zgromadzeni na dachu musieli zdecydować się na coś. Decyzya ta jednak wymagała wielkiej odwagi. Na strych można się było dostać z dachu tylko przez te dwa dymniki. Włażąc do dymnika, trzeba było wsunąć tam najpierw nogi... Ale ci panowie wiedzieli, co czeka tego, który ośmieli się to uczynić — a właściwie nie wiedzieli dobrze, co się z nimi stać może i to jeszcze powiększało ich przestrach.

Krzyki słychać było ciągle. Można było wyraźnie rozróżnić ochrypły wrzask pana Bombarda i piskliwy, przenikający głos małego Clarice. Ale co było najdziwniejsze, to brak odgłosów jakiejkolwiek walki, szamotania się — nic, tylko krzyki.

P. de Meyrentin, zapominając że jest bez binokli, odważnie zbliżył się do dymnika, w którym znikł Clarice. Dymnik ten znajdował się w pobliżu drzwi, łączących strych z dołem domu i do tych drzwi przystawiona była drabina. Sędzia zajrzał do środka, nie zobaczył jednak nic prócz ciemnego strychu, w głębi którego rozlegały się krzyki dwóch nieszczęśliwych. Nagle trzeci głos odezwał się i pokrył inne. P. de Meyrentin z łatwością poznał głos brygadyera żandarmów — zwłaszcza, iż usłyszał przekleństwo, dobrze mu znane.

Teraz wrzeszczeli, jęczeli wszyscy trzej.

Patryk nie mógł wytrzymać...

Nie miał krótkiego wzroku! I znajdował się tuż obok dymnika, przez który porwano p. Bombarda. Nachylił się więc, chcąc zajrzeć, ale zaledwie zbliżył głowę do otworu, gdy usłyszał zdanie, które o mało nie zrzuciło go z dachu — zdanie, brzmiące niewypowiedzianą nienawiścią:

— A, to ty, Patryku! Ani z miejsca!

Patryk poznał ten głos, słyszał go owej nocy straszliwej w gospodzie pod „Czarnem Słońcem".

— Morderca! — wrzasnął. — Morderca jest tam! To jego głos... jego głos... jego głos... Morderca Blondela jest tam... tam!

I palcem wskazywał dymnik, od którego zresztą odsunął się w nieopisanym strachu.

Mer, p. Saquier, Valentin i Roubion trwali ciągle w swem osłupieniu na brzegu dachu.

Nagle głosy ucichły...

Wreszcie p. de Meyrentin poczuł przypływ odwagi, która tworzy bohaterów nieśmiertelnych. Zapytał, czy kto z obecnych niema rewolweru. Roubion podał mu swój. Sędzia z rewolwerem w ręku podszedł do dymnika, który znajdował się prawie nad drzwiami, prowadzącemi do wnętrza domu — i począł nasłuchiwać. Nie słysząc nic, wlazł w dymnik. Obecni przyglądali mu się z podziwem, pełnym niepokoju. Z początku wszystko szło dobrze. Mężny sędzia zagłębiał się w dymniku i już tylko ramiona i głowa wystawały nad dachem... I oto p. de Meyrentin zniżył nagle głowę i to tak szybko, że otarł się twarzą o brzeg dymnika i spadł na wznak na strych. Chciał odzyskać równowagę, ale nogi jego trafiły na otwarte w podłodze drzwi — wpadł w nie i z łoskotem zesunąwszy się po drabinie, potoczył się po ziemi, jak kłębek. Znalazł się na platformie mezaninu, koło niego podnosili się, jęcząc i wzdychając, p. Bombarda, mały Clarice i brygadyer żandarmów.

Widząc się otoczonym przez ten oddział ludzi, których uważał już za martwych, p. de Meyrentin zerwał się na swe krótkie nogi i zakomenderował:

— Baczność! Morderca jest na strychu — dymników pilnują! Nie ujdzie nam!

Nie skończył jeszcze tych słów, gdy przez mgnienie oka dojrzał przebiegający nad sobą w podsokach, po suficie, dziwny kształt ludzki, przypominający tych nadzwyczaj lekkich i zwinnych gimnastyków z cyrków, którzy się kręcą, tworzą koła, słońca i gwiazdy — i zdają się nie dotykać niczego!

ROZDZIAŁ VIII.

Cera.

Wypadek ten na długo pozostał niewytłumaczonym dla wszystkich. Ci, którzy mieli dobre oczy — jak brygadyer naprzykład — nie widzieli więcej, niż sędzia śledczy, to jest kształt ludzki, który jak strzała przemknął się po suficie i otwarcie wyszedł przez drzwi, które, jak na złość były otworzone...

I poza tem nic więcej i nikogo więcej nie znaleziono w domu prócz tych, którzy zeszli z dachu, by połączyć się na dole z ofiarami napadu dla wspólnych, daremnych poszukiwań.

Trzej, którzy spadli ze strychu, byli nieco potłuczeni, ale ostatecznie nic złego im się nie stało... Najedli się tylko strachu, tak, że dzwonili zębami.

Opowiadali, że jakieś ręce z niesłychaną siłą schwyciły ich, zgniotły, ubezwładniły... chwyciły ich za gardła, dusząc... Nie byli w stanie opierać się ani sekundy. Brygadyer, który był bardzo silny — chciał się bronić — został porwany w ciemności, jak i inni, i rzucony o ziemię. Wreszcie, łaskawie pozwolono im spaść przez drzwi od strychu.

Wszyscy trzej zdawali się wierzyć, że mieli do czynienia z jednym, jedynym człowiekiem, który zresztą po ciemku — wydawał się olbrzymem.

— Jeden człowiek! Ale jeden człowiek nie mógł mieć trzech rąk, któremi trzymał was za gardła! — wykrzyknął sędzia.

Co do niego, to — schodząc przez dymnik na strych — poczuł, jak jakaś ręka załaskotała go po brzuchu. Dlatego skurczył głowę i uderzył się twarzą o krawędź dymnika. Wreszcie ta ręka sięgnęła poprostu do kieszeni jego kamizelki i p. de Meyrentin stwierdził, że skradziono mu zegarek!

Sędzia nie wahał się oznajmić o popełnionej kradzieży, gdyż zegarek był z fałszywego złota...

Patryk powrócił do domu wuja bardzo rozstrojony, co zresztą było łatwo zrozumiałe. Wszyscy uczestnicy posiedzenia na dachu otrzymali rozkaz zachowania zupełnego milczenia o tem, co zaszło. Patryk, podczas całego obiadu, nie otworzył ust.

Miał szczery zamiar trwać w swem milczeniu aż do chwili odjazdu. Nie chciał rozmawiać nawet z Magdaleną... Miał dosyć tego wszystkiego!

Jednakże gdy Magdalena, bardzo smutna, mówiła mu „dobranoc", zapytał ją półgłosem, czy bracia Vautrin byli dobrymi gimnastykami. Odpowiedziała mu, nie kryjąc zdziwienia, że podczas różnych uroczystości trzej bracia zadziwiali wszystkich zręcznością, z jaką wykonywali ćwiczenia.

— Dlaczego pytasz mnie o to? — dodała.

— Tak sobie — odparł mrukliwie Patryk.

Odeszła z zaczerwienionemi oczami. Coriolis był już u siebie w wieży.

Patryk usłyszał w kuchni głos Zoe i zaszedł tam. Gertruda zajęta była swemi rondlami, Zoe, siedząc przy dużym okrągłym stole, naprawiała pończochy i skarpetki. Miała ich cały pęk obok siebie w koszyczku. Patryk zajrzał bezwiednie do koszyka.

I nagle ujrzał coś!

W koszyku była skarpetka „człowieka, który chodził głową w dół". Widział ją wyraźnie, poznał wielką, jak dwudziestofrankówka cerę, niedbale obrzuconą! I wyciągnął szybko rękę, chcąc ją schwycić. Ale zetknął się twarz w twarz z Zoe, która zbladła i gwałtownym ruchem schowała koszyk za siebie. Patryk zdumiał się postawą dziewczyny, ale nadewszystko żałował swego nieostrożnego ruchu. Powinien był mieć się na baczności wobec siostry Vautrinów; ale czyż mógł przypuszczać, że znała ona wartość przedmiotu, który tak gwałtownie zwrócił jego uwagę?

Nie, to było niemożliwe, żeby ta mała mogła się czego domyślać! Przecież w takim razie nie byłaby tak głupią, żeby pokazywać te skarpetki, tak wiele mówiące, publicznie.

Ale dlaczego z takim pośpiechem schowała koszyk, dlaczego zerwała się tak nagle i zbladła? I wreszcie jeszcze jedno pytanie straszne nasuwało się: Dlaczego skarpetki człowieka, który chodzi głową w dół, znajdują się w domu Coriolisa?

Wszystkie te pytania, pozostawione bez odpowiedzi, podwoiły jeszcze w Patryku chęć dostania w ręce, za wszelką cenę, dowodu winy. Odepchnąwszy Zoe, wyciągnął znów rękę w stronę koszyka. Ale dziewczyna, zręczna jak małpa, była już z drugiej strony stołu, nie wypuszczając koszyka z rąk.

— Co masz tam takiego, Zoe? Czemu nie chcesz pokazać mi swej roboty?— zapytał drżącym głosem Patryk, napróżno starając się owładnąć wzruszeniem, które go opanowało.

— Nic nikomu do mojej roboty — odpowiedziała ze złością przez zęby. — Nie lubię, kiedy się kto do mnie wtrąca. Później się mylę i panienka się gniewa.

— Cóż tam znowu takiego? — zapytała Gertruda, porzucając swe rondle, by przysłuchać się kłótni, której nie rozumiała.

— Ja chcę — rzekł Patryk tonem tak groźnym, że kucharka zadrżała — chcę widzieć to, co ona tam trzyma.

I wskazał drżącym palcem koszyk w rękach Zoe.

Gertruda, stojąca za dziewczyną, wyciągnęła rękę i chwyciła koszyk. Zoe, która nie oczekiwała tej napaści, krzyknęła i wypuściła koszyk, ale jednocześnie z błyskawiczną szybkością schwyciła skarpetkę, żądaną przez Patryka — a ponieważ w drugiej pięści miała taką samą, Patrykowi koszyk był już niepotrzebny. Więc począł gonić dziewczynę, która uciekała, biegnąc naokoło stołu. Patrzyli na siebie z nienawiścią.

— Daj mi to! — wściekał się Patryk.

— Nie! to moje! to moja robota! Należy do mnie! Może pan sobie zabrać resztę, razem z koszykiem, jeżeli pan chce. Powiem pannie Magdalenie, że pan zabrał i już!

— Dlaczego nie chcesz mi dać tego? Tej pary skarpetek, które masz w ręku? Nie proszę cię o tamte!

— Mówię przecież, że to moja robota! Nie chcę, żeby pan pokazał to pannie Magdalenie! Naturalnie! Ona mi płaci za to, żebym tu pracowała i wypędzi mnie, jak się dowie, że, siedząc tutaj, tracę czas na cerowaniu skarpetek i pończoch moich braci.

— Ach! widzicie, co za szelma! — jęknęła Gertruda.

— To skarpetki twoich braci? — zapytał Patryk, starając się zbliżyć niespostrzeżenie.

Ale mała odbiegła.

— Naturalnie, przecież mówię...

— No, więc cóż? Daj mi je, a ja nie powiem pannie Magdalenie...

Ale nie dostał odpowiedzi. Zoe znajdowała się na wprost drzwi, wychodzących na podwórze i w tej chwili otwartych. Jednym skokiem wypadła z kuchni. Pobiegł za nią. Pociemku — lepiej znała drogę od niego. Słyszał w stronie ogrodu szybki i głuchy łoskot jej drewnianych trzewików. Była więc jeszcze w posiadłości wuja. Zechce napewno uciec przez małą bramę, obok oranżeryi, wychodzącą na las. Trzeba jej przeszkodzić!

Puścił się więc na przełaj, nie zważając na drogę i tratując w pośpiechu kwiaty. Przybył do małej bramy w chwili, gdy Zoe zamykała mu ją przed nosem. Zanim uporał się z bramą, dziewczyna była już o jakie dwadzieścia metrów. Widział ją — pędził więc dalej. Zoe zrzuciła trzewiki i biegła boso, niepodobieństwem było dopędzić ją teraz. Ale Patryk, opanowany jedną myślą, gonił, nie zważając na nic.

Nie zastanawiał się nad tem, że dziewczyna biegła szukać schroniska u siebie, to znaczy w domu Vautrinów, koło którego przechodzono tylko z konieczności, możliwie najostrożniej i nie odwracając głowy.

Zoe rzeczywiście zbliżała się do opuszczonej, przygarbionej chałupy przy drodze z jedynem oknem błyszczącem w nocy. Patryk ani spostrzegł się, że był koło siedziby Vautrinów, gdy Zoe pchnęła drzwi i znikła w chałupie, zostawiając go przed wałem, który przesadziła, jak dzika koza.

Teraz dopiero zdał sobie sprawę z całej swej lekkomyślności. Był bez broni i mógł być osaczony, jak zwierz, przez trzech braci. — Mała, naturalnie w kilku słowach opowie im całą sprawę ze skarpetkami. Był to dowód, który nie pozwalał już wątpić o roli, jaką trzej bracia odegrali w zbrodniach miejscowych — postanowił ten dowód przeprowadzić do końca i bez względu na wszystko wypowiadał im wojnę.

Ale — myślał — lada chwila mogą się ukazać, będą mnie szukali... a jeśli znajdą...

Myśli, szybkie jak błyskawica, przechodziły mu przez głowę. W chałupie słychać było podniesione głosy. Patryk obejrzał się, nie wiedząc, gdzie ma uciekać i jak się schować. Znajdował się za chałupą, której drzwi otwierały się właśnie, rzucając kwadrat światła na drogę. Nie miał czasu na ukrycie się w grupie topoli, które rosły o kilkanaście metrów stąd. Pozostawał mu tylko dom. Jeżeli jeden z braci zajdzie z jednej strony, a inny z drugiej — będzie schwytany.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Zagadki do nagrody.

Arytmogryf.

Ułożył X. z Krakowa.

Cyfry zastąpić w ten sposób literami, aby pierwszy rząd pionowy, czytany z góry na dół, podał nam życzenia świąteczne, jakie Redakcya przesyła swym P. T. Czytelnikom.

19	13	2	16	22	7	14	17		
16	7	21	24	16	22	16			
25	5	24	19	16	2	21	13	7	4
21	20	24	5	9	14				
13	10	21	11	25	5				
20	7	5	24	5	19	5			
16	10	21	2	11					
7	13	22	21	24					
16	10	22	12	25	4				
22	7	16	22	16	19	14	10		
12	25	22	16	22	21				

Znaczenie wyrazów: 1. Filozof grecki. 2. Rzeka w Ameryce. 3 Miasto w Królestwie Polskiem 4 Imię męskie. 5. Linia krzywa. 6 Miasto w Hiszpanii. 7 Pasmo gór w Grecyi. 8. Drapieżna ryba. 9. Miasto w Królestwie Polskiem. 10. Egzotyczna jaszczurka. 11. Powieść T. T. Jeża.

Szarada.

Ułożyła K Szumańska, Rawa Ruska.

Pierwsza, głoską w abecadle,
Druga stoi prostopadle
Między greckiemi litery,
Szukaj, znajdziesz bez kozery!
Pierwsza, trzecia z pierwszą snadnie
Ubiór damski ci wypadnie
Druga z pierwszą jest zaś bronią
Z nią na koniu w wojnie gonią.
Siejąc postrach, śmierć dokoła,
Aż, gdy *całość:* „stój!“ zawoła.
Gdy zaś wróci chłopiec z wojny
Weźmie *w trzecie* cię swawolny,
Śmiać się będziesz dziewczę pewnie
I pocieszysz go też rzewnie.
A gdy kiedyś w interesie
Okręt cię het w świat poniesie,
Całość za porządek ręczy.
Odgadnięcie więc nie zmęczy!

Zadanie konikowe.

Ułożył K Kaim, Kraków.

mi	śmi r	c	żo	s e	ny	skoń	o
ni	na	ł m	tel	je	ny	sta	król
cia	na	ą	ob	tru	mnie	g eń	czo
chwa	gra	ch'e	cie	Bóg	sów	nad	ło
dzy	wo	ty	bio	je	moc	ny	krzep
kry	je	ma	dzi	blask	się	i	wie
sło	mię	nie	ny	mi	ka	nie	wzgar
p	o	a	ło	ro	dzo	ka	mie-z

Bilety wizytowe.

Ułożył A Lorencki, Warszawa.

Z liter imienia i nazwiska ułożyć zajęcie tych osób.

Aniela U. Wulczydocka

Fr. J Samyredzki

Kwadrat magiczny.

Ułożył A. Piekło, Podgórze.

Z podanych liter ułożyć pięć wyrazów, równobrzmiących w kierunku pionowym i poziomym.

a	a	d	d	e
e	e	e	l	l
m	n	n	o	o
o	o	r	p	s
s	t	u	u	w

Znaczenie wyrazów, 1. Wyspa na morzu Śródziemnem 2. Miasto na Śląsku Pruskim 3. Wielka posiadłość ziemska należąca do państwa. 4. Wielki deszcz. 5. Najwyższa władza państwa.

Zadanie do przestawienia.

Ułożyła M. Arbesbauer, Lwów.

Z podanych liter ułożyć znane polskie przysłowie: Syn Kaspra Satyr, zmył Kazka.

REBUS.



Jako nagrodę za rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek przeznacza Redakcya do rozlosowania *W. Gąsiorowskiego:* **Rok 1809.** Powieść historyczna z epoki napoleońskiej i *Wiesława Sclavusa:* **Ugodowcy.**